Nr. 28. Lwów, Niedziela dnia 18. Marca 1877 r. **Tom IV.**



ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcja:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracja:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

JUBILEUSZ JÓZEFA SUPIŃSKIEGO.

Oddając cześć znakomitym swym pracownikom na polu nauk i oświaty, a gorącym miłośnikom narodowej sprawy, czci naród sam siebie i podnietę daje tym, którzy mogą talentem swym i pracą spotęgować umysłowy kapitał narodu.

Pięćdziesiąt lat minęło, jak Józef Supiński rozpoczął literacką swą działalność. Urodzony w r. 1804 pod Lwowem, kształcił się w szkołach warszawskich i wcześnie już zdradzał zdolności literackie w pracach podjętych najprzód na polu poezyi opisowej i dramatycznej. Po powstaniu 1830 r. jako wychodźca mieszkał we Francji walcząc zwycięzko z ciężkimi warunkami życia, a następnie przeniósł się do Galicji i dalej prowadził swe prace naukowe. W r. 1860 i następnych wydał pomnikowe swe dzieła: „Myśl ogólna fizjologji powszechnej" i „Szkołę polską gospodarstwa społecznego".

Dziełami temi położył Supiński niespożyte zasługi i na tem polu najwybitniej pojawiła się jego umysłowa działalność. Słusznie też możemy go nazwać ojcem naszej ekonomji społecznej. Przedtem mieliśmy tylko kompilacje Strojnowskiego i Skarbka, które niczem nie wybiegły po nad poziom współczesnej szkolarskiej ekonomji — mieliśmy jeszcze dwóch na tem polu pracujących oryginalnych i rzeczywiście znakomitych rodaków, Ludwika Wołowskiego i Augusta Cieszkowskiego, którzy zasłynęli szeroko wśród obcych, nie wzbogacili jednak niczem polskiej literatury ekonomicznej, Wołowskiego bowiem wszystkie dzieła ekonomiczne (du crédit et de la circulation) pisane były po francusku. Supiński pierwszy dał system ekonomji polskiej nie tylko językiem ale i duchem i tendencją. Jego „Szkoła polska gospodarstwa społecznego", będąca skończonym systemem ekonomicznym, jest prawdziwie pomnikowem w naszej literaturze dziełem, chociażby szczegóły niektóre najsurowszej podpaść miały krytyce.

Główną zasługą Supińskiego jest to, że nie trzymając się ślepo dróg przez dawną szkołę ekonomistów ubitych, stworzył własny i oryginalny system ekonomji daleki od socjalistycznych mrzonek, ale też równie daleki od jednostronnego optymizmu tak zwanej szkoły manchesterskiej. Można się zgadzać lub niezgadzać z systemem Supińskiego, nikt jednak zaprzeczyć mu nie może oryginalności i głębokiego obmyślenia systemu, z całą konsekwencją w szczegółach przeprowadzonego, nikt nie może zaprzeczyć wielkiej zasługi jaką położył swoją teorją „zasobu społecznego" będącą prawdziwą perełką jego pracy. Drugą zaś zasługą Supińskiego jest, iż system jego — to system na wskróś polski, iż pisząc go, przedewszystkiem interesy i stosunki własnego narodu miał na oku. Dzieło jego ma dla nas to znaczenie, jakie miał dla Niemców Lista „narodowy system ekonomji," z tą różnicą, jaka zachodzi między położeniem Niemiec w chwili, gdy List pisał swoje dzieło, a położeniem obecnem narodu polskiego. W Supińskim znajdzie Polak myślący i o przyszłość narodu swego dbały, uwagi i myśli mogące być prawdziwym programem ekonomicznej i społecznej w narodzie działalności. I gdybyśmy wtedy, gdy Supiński dzieło swe wydawał, byli umieli przejąć się prawdami w niém wypowiedzianemi, gdybyśmy byli wtedy rozpoczęli systematyczną pracę ekonomiczną w tym kierunku, jaki on nam wytknął, stalibyśmy już nie na tym punkcie ekonomicznego zastoju, na którym niestety po dziś dzień stoimy, od kilku dopiero lat począwszy nieco energiczniejszą działalność. Supiński nie zna nauki dla nauki samej — nauka jego jest dla narodu — a z każdej rady jaką udziela, z każdej praktycznej prawdy jaką wypowiada, wieje gorąca miłość ojczystej ziemi i jej ludu — ta miłość bez której wszelka naukowa czy inna praca jest bezpłodną.

Uczcić jubileusz tyle zasłużonego w narodzie męża, któremu zawdzięczamy najzdrowsze rady co do wzmożenia społecznych sił narodu, jest obowiązkiem pokolenia biorącego się do pracy w duchu rad przez niego udzielanych. Pod wpływem tej myśli tworzy się we Lwowie komitet, mający obmyśleć sposób obchodu jubileuszowego i zająć się jego urządzeniem. Spodziewamy się, że myśli tej kraj cały przyklaśnie, że znajdzie ona powszechne uznanie i poparcie. Szczegółową odezwę komitetu podamy w najbliższym czasie a nie wątpimy, że liczne z kraju nadejdą dowody, iż nie jest to pomysł kilku jednostek, lecz wyraz powszechnej czci i miłości dla zasłużonego pracownika na niwie ojczystej nauki.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Na to wam słowo szlacheckie daję — rzekł Opczyński — iż złota nie użyjemy wcale... bezcześciło by to nas.

— Tem lepiej, równiejsza gra będzie.

Zamilkli, Bajkowski wstał, niby chcąc od jść.

— Jak mi Bóg miły, gdybym ja był na miejscu kasztelana, dałbym rozbójnikowi odczepne.

— Tak — rzekł Opoczyński — kasztelan zrobił by to może gdyby był wami, ale...

— Docinasz! — zawołał Bajkowski — ale bez gniewu bracie... *ad videndum* przed kratkami.

— Żegnam was.

Tak się rozeszli.

Wieczór już był późny, kasztelan chodził wielkiemi krokami po sali pałacu z Barcińskim, gdy na palcach zbliżył się marszałek dworu.

— Jaśnie wielmożny panie! jakaś kobieta domaga się, aby mogła chwilkę rozmowy otrzymać.

— Kobieta? cóż to za jedna?

— Bardzo jakoś nędznie wygląda, twarzy nie widziałem, ale strój niemal chłopski. Chciałem ją odprawić do jutra, ale z płaczem się domaga, aby trzy słowa powiedzieć mogła.

Kasztelan wyszedł natychmiast do sieni, na ławie otaczającej ją, ze znużenia czy osłabienia siadłszy, zsunęła się na ziemię przybyła nieznajoma niewiasta, i zdawała omdlałą. Strój w istocie był włościanki, wielka tylko chusta pokrywała go z wierzchu.

Osłabła padła tak na jeden bok twarzą na ziemię, pochylona cała, że jej lica widać nie było.

— A! na miłego Boga, zemdlała czy co? — krzyknął marszałek, posuwając się by ją podnieść.

Słudzy rzucili się także, wniesiono świecę na hałas wybiegł Barciński, i gdy omdlałą dźwignięto, krzyknął bardzo nieostrożnie przy sługach:

— Jezus, Marja! Achingerowa...

W istocie ona to była. Znużenie, niepokój, boleść, niebezpieczeństwo, od którego uciekała, niewygody doznane w podróży, wyczerpały jej siły do ostatka... leżała blada jak marmur bez czucia.

Kasztelan posłał natychmiast po doktora, a Barciński ważący już następstwa tego wypadku, w drugą stronę po mecenasa Opoczyńskiego.

W pierwszej chwili Żeliga wiedziony litością tylko, nie zastanowił się nawet, jak przybycie tu wprost Achingerowej dla procesu może się stać groźnem. Stolnik to poznał, i dla tego w tej chwili wysłał nagląc po adwokata.

Tymczasem nadbiegła żona murgrabiego pałacowego z trzeźwiącą wódką, octem, ze słynną swą biegłością w sztuce lekarskiej. Piękną panię, której twarz wychudła była do niepoznania zmienioną, złożono na szerokiej ławie, a stara Mollerowa rada, że samego kasztelana mieć będzie świadkiem popisu, jęła się żywo cucić biedną omdlałą.

Kasztelan chciał, aby ją natychmiast przeniesiono na łóżko i zmieniono ubranie, ale się Barciński stanowczo temu sprzeciwił.

— Na to nie pozwolę — rzekł — trochę wygodniej lub mniej dobrze, o to nie idzie, chodzi wielce o to, aby nikt powiedzieć nie mógł że tu dłuższe schronienie znalazła. Przybędzie Opoczyński, każecie przygotować karetę, ja natychmiast odwożę ją jak stoi w tym stroju do panien Wizytek. Przełożona jest mi znajomą, tam na żadnem staraniu i troskliwości nie zbędzie.

Kasztelan uscisnął jego rękę, tymczasem Achingerowa dzięki pani Mollerowej otwarła oczy, wejrzenie jej spotkało tuż stojącego kasztelana, i obie ręce wyciągnęła z okrzykiem ku niemu.

— A! tyś tu panie, znalazłam cię, znalazłam... ty obronisz mnie, nie dasz prześladować i nękać... ulituj się!

— Bądź pani zupełnie spokojna — odpowiedział Żeliga z cicha; w istocie gdy tu już jesteś, niczego się obawiać nie możesz, za chwilę będziesz w miejscu bezpiecznem.

— Jakto? gdzie? — spytała strwożona kobieta, nie pozwolicież mi tu zostać, spocząć, ja się boję...

Kasztelan nie mógł przy ludziach mówić wyraźniej, powtórzył tylko.

— Bądź pani spokojną.

— Kiedy głos twój słyszę, kiedy ty to mówisz panie, już nią jestem — odpowiedziała słów nie ważąc kobieta.

Stolnik zafrasowany spojrzał na kasztelana; Żeliga spuścił oczy smutnie.

Achingerowa po chwilowem omdleniu, gorączkowo odzyskiwała życie i siły; doktor nadjechał zaraz, odprawiono więc ludzi i panią Moller która nadzwyczaj zostać sobie życzyła; posłano do apteki po jakieś przepisane lekarstwo, bo ówczesna medycyna bez recepty i medykamentów stąpić nie mogła. Stolnik przysiadł na krześle i począł rozpytywać troskliwie.

— Powiedzże pani, jak potrafiłaś uciec z pod tak pilnej straży?

— O! nie przyszło mi to łatwo — odpowiedziała smutnie, ale są serca litościwe. Ekonom był nieubłaganym, dziewczyna spiąca przy mnie złośliwa... ale reszta litowała się, ratować mię pragnęła. Winnam oswobodzenie ludziom naszej wioski, mnie nawet na myśl nie przyszło, że mogę się uwolnić; oni to ułożyli i wykonali. Spojono ekonoma dano coś na sen dziewczynie... zbudziłam się przerażona łoskotem, gdy wyłamywano kratę od okna, ale mi dano znak. Jak stałam, wyskoczyłam oknem, ludzie stojący pochwycili mnie ze ręce, wynieśli podając jedni drugim aż do chaty, gdzie znalazłam odzież wieśniaczą i wóz gotowy, który manowcami popędził. Trzy czy cztery razy przesiadałam na gotowe furmanki aż do gościńca bezpiecznego, na którym czekała mnie bryka furmańska, stara kobieta i dziewczynka mała. Jechałam nocami unikając pogoni, czując się chorą, płacząc a nie wiedząc dokąd się udać, by was znaleźć... bo gdzieżbym się była schroniła? Ja wiem — dodała cicho — że z sobą przynoszę wam prześladowanie, boleść, potwarz może, nieszczęście, ale nie miałam do wyboru... utopić się lub przyjść tu i powiedzieć wam: Postanówcie, róbcie ze mną co chcecie.

Zaczęła płakać, Żeliga był mocno poruszony, ale się powstrzymał od okazania wszelkiego współczucia.

— Bądź tylko pani spokojną — rzekł — ufaj w Bogu. Na teraz nie możesz tu pozostać... potrzeba dobrowolnie udać się do klasztoru, dopóki się rzeczy nie wyjaśnią...

Na ten wyraz klasztor, nieszczęśliwa Achingerowa porwała się przerażona, twarz jej znowu pobladła śmiertelnie; zaczęła płakać.

— Panie mój, gdzie każecie, ale nie do tego grobu — rzekła — ja się lękam... ja nie wyjdę już ztamtąd... Bóg sam nie wymaga tego, gdy mi powołania nie dał.

— Ale szanowna pani — przerwał stolnik — nikt też pani nie radzi klasztoru ani namawia, jest to tylko chwilowe dla niej najstosowniejsze schronienie. Pani wyjdziesz, gdy zechcesz.

— Dla czegóż mam się tam schronić?

Achingerowa nic dotąd nie wiedziała o sprawie, kasztelan nie mógł ją objaśnić, stolnik rad nie rad pochylił się do jej ucha i w kilku słowach opowiedział rzecz całą. Krzyk wyrwał się z jej ust, pochyliła się i omdlała znowu.

Nadjechał też wreszcie Opoczyński, a gdy mu na progu oznajmił o swej przygodzie kasztelan, stanął z założonemi rękami odrętwiały. Cieszyło go zapewne, że pani Achingerowa się znalazła, ale fakt ten że przyszła wprost naprzód do kasztelana, oddając się pod jego opiekę, nie mógł być utajony, miał on znaczenie w każdem razie nie dobre. Potrzeba było co najrychlej odwieść Achingerowę do PP. Wizytek, podjął się tego stolnik. Ona sama już się nie wzdragała wcale.

Wstała zbierając siły, obwinęła się tą chustą i siermięgą w ktorej przyszła, a chwiejącym krokiem zbliżyła się do Żeligi i uklękła przed nim składając ręce...

— Mój ojcze! mój panie! — zawołała głosem pełnym łkania — przebacz mi, daruj, zapomnij... Tyś jeden był mi litośny, dobry na ziemi... ty jeden miałeś odwagę wskazać mi drogę i nauczyć cierpieć... Błogosławże mnie sierotę, a nie opuszczaj, abym nie zginęła i nie upadła... Tobiem winna spokój duszy i cnotę... Pozwól, abym myślą i sercem zwracała się zawsze ku tobie... i była twoją, twoją sierotą... twojem dziecięciem.

To mówiąc, gdy chciała mu upaść do nóg, kasztelan pochylił się, podniósł ją w silnych dłoniach, i zapominając na wszystko, na bladem czole ojcowski złożył pocałunek.

— Bądź spokojną, nie opuszczę cię — rzekł — chybabym umarł.

Kareta stała u ganku. Żeliga jak trzymał ją bezwładną, zmęczoną, osłabłą, tak zaniósł do powozu, i oddając stolnikowi, dodał jeszcze:

— Nie opuścimy cię pani, ufaj mi i nie obawiaj się niczego.

Gdy kareta potoczyła się po bruku, biedny Żeliga sam potrzebował już aby go kto podtrzymał, bo się chwiał na nogach... słaniając się, poszedł milczący do swego pokoju.

Opoczyński zasiadł ze stolnikiem w sali zasępiony mocno.

— *Fiat voluntas tua!* — rzekł — ależ gorzej się trafić już nie mogło, jak że ona tu przyszła wprost... Chybaby jakim cudem ludzie o tem nie wiedziali, ale złe wycieka wszystkiemi szparami, tajemnica się wyda.

— Tak — dodał stolnik — jest to nowy cios ale też i posiłek: Achingerowa żyje, wolna i powie prawdę.

— A prawdzie nikt nie uwierzy, szepnął Opoczyński, ale wojna to wojna... więc naprzód.

Dlaczego jegomość pana Dydaka Bożawolę przezwali źli ludzie onuczką, trudno było dośledzić; to pewna, że choć nosił nazwisko swego herbu i był acz ubogim, ale z prapradziadów *natus* i do dziś dnia po troszę *possessionatus,* bo miał dwóch chłopów tuż obok wsi Achingera, znała go okolica tylko pod tem imieniem dosyć wzgardliwem onuczki.

Wiadomo obyczajów starych i ludowych świadomym, że tak zwią chustę, którą się noga do buta okręca. A że ta część stroju nie bywała ani zbyt biała ani bardzo wy-

tworna, nazwać kogo onuczką nie miało po chlebnego znaczenia.

Że Dydak Bożawola na wzgardę i lekceważenie nie zasługiwał, to wszystkim wiadomo, ale są po świecie złe języki. Trzeba wiedzieć, że jak z dokumentów się okazywało i z tradycji stałej, wszyscy słyszeli o tem, okolica na mil trzy dokoła z ogromnemi lasami należała do tej znacznej i majętnej niegdyś rodziny Bożawolów. Ale fortuna kołem się toczy, rozrodziła się familja, wyrosły procesa, narobiło się długów i majątek ogromny topniejąc, zszedł na dwóch chłopów ostatniego dziedzica.

Wcale dla tego jednak szlachcic rezonu nie stracił, owszem z ubywającą majętnością Bożawole podnosili czoło, nastrzępiali wąsa coraz lepiej, a w panu Dydaku tyle było serca, męstwa i szlachetności, że starczyłoby i na największą fortunę.

Pracował on ze swymi dwoma chłopami około roli ale przy szabli, lub folgując sobie szablę wtykał na miedzy. Dydak nikomu nie przebaczył, śmiały był i weredyk straszliwy. Za młodu sługiwał w kawalerji narodowej, i od parady kładł starą mundurzynę zawsze; a choć granatowy kontusz z amarantowym kołnierzem mocno się wyszarzał, był on dlań relikwią najdroższą.

Gdy przy dwóch chłopach da komu Pan Bóg pięcioro dzieci, żonę chorą, gradobicie co drugi rok, nieurodzaj co trzeci, a jeszcze jak Florjanowi Szaremu złego sąsiada, nie można się dziwić, że skwaśnieje mu życie i wyłysieje mu głowa zawczasu. Dydak miał wąsy spadające aż na piersi, ale czaszkę jak kolano. Był budowy kościstej, żelastej, na której nie wiele się mięsa trzymało, chodził nieco przygarbiony i miał zwyczaj lewą ręką pod bok się brać, a prawą często wąsy poprawiać. Szanowano pana Dydaka, ale trochę się zaś z jego buty i pańskiej fantazji śmiano; miał bowiem pojęcia rycerskie, które przy łatanym kubraku rzadko razem chodzą. Sąsiadując o miedzę z Achingerem, który mu bydło zabierał, w łąki się wkaszał i nieustannie jadł, znienawidził Dydak tego człowieka. On to pierwszy posądzając, że Achinger, który go raz pod Chełmem spotkał idącego boso z butami i onuczkami na plecach, nazwał go Onuczką, odwdzięczył się przezywając go kuternogą. Na dobitkę, karczemka Onuczki i austerja kuternogi stały naprzeciwko siebie na gościńcu z Chełma do Lublina wiodącym, i z powodu propinacji nieustanne kłótnie się mnożyły, niekiedy aż do zbrojnych wystąpień przychodziło. Achinger miał za sobą gromadę swej wioski, Onuczka na zawołanie całą szlachtę okoliczną.

Słowem nienawidzili się jak pies z kotem. Przychodziło do tego, że się sobie spotkawszy na gościńcu, odgrażali gębą, ręką, pluciem i łajaniem w żywe oczy.

Z resztą sąsiadów dalszych jak i z całem sąsiedztwem żył pan Dydak w bardzo dobrych stosunkach; folgowano nawet jego słabości gdy utrzymywał, iż cała okolica aż po Bug do jego przodków niegdyś należała. Po cichu śmiano się z tej pociechy nieboraka, któremu pozostało dwóch chłopów tylko i pięcioro dzieci. Szczególniej z Barcińskimi, stolnikiem a potem Żeligą, za tych czasów, gdy nie wiedziano jeszcze, kto był, Dydak się przyjaźnił. Kasztelan zjeżdżał do niego, rozmawiał a później dużo mu dopomógł, tak że cząstkę we wsi z pięcią poddanymi mógł pan Dydak kupić. To też poprzysiągł wdzięczność dozgonną kasztelanowi.

Ile razy mógł, zajeżdżał zawsze do Barcina pokłonić się pogawędzić, ducha pokrzepić, jak mówił, napatrzyć się ludzi poczciwych. Gdy ostatnie wypadki zaszły, pan Dydak leżał chory, spadł był z barci i potłukł się szkaradnie.

Ale miał na to smarowanie osobliwsze, którego przepis znalazł w starym kalendarzu pradziadowskim, i gdzie inny by był może rok chorzał, on wprędce jakoś się dźwignął.

Dopiero mu rozpowiedziała żona wszystko, co się stało, o wyjeździe kasztelana, Barcińskiego, o podróży Achingera, o ucieczce żony; a że sprawa ta miała dziwny rozgłos, wystawiła ją pani Dydakowa jako prześladowanie ze strony farmazonów na poczciwego kasztelana wymierzone.

Dydak się za głowę pochwycił.

— Ten cierpi, a mnie tam nie ma! — krzyknął — a pfe mospanieńku.

— A cóżbyś ty tam robił? — zapytała żona.

— No! to już mnie wiedzieć! — odparł szlachcic — alem tam powinien być.

Drugiego dnia Dydak w podwórku nogi prostował, próbował kości, poszedł do stajni i obejrzał podjezdka. Był to jedyny koń, jakiego miał pod siodło: niepokaźny, mały, bo go pono najeżdżać zaczęli w niespełna piątym roku, ale wytrwały i zawiędły jak jego pan. Szerść miał brudno kasztanowatą, a konie takie często bywają słabowite, ale gdy się między niemi trafi dobry, to najlepszy. Za tego, z daleka patrząc, nikt nie dał by kilkunastu talarów, a naprawdę wart był dla znawcy choć sto.

Nie było tam w budowie wdzięku, ale przymioty wielkie, noga gruba ale sucha, łeb nieco ciężki, ale skóra i kość, że żyły policzyć było można na niem, pierś szeroka, tylko że się chudo trzymał.

Ale co koń ten mógł wytrwać, to prawie nie do wiary, w wozie chodził zbyt gorąco, pod siodłem wyśmienicie, choć nieuczony, w gębie smak taki, że każde drgnięcie zrozumiał, Galopa jak się puścił, musiałyby za nim inne truchtać. Z tem wszystkiem jeden go pan Dydak znał i cenił, a nazywał go dobrodziejem. Dobrodziej w gorący czas, wstyd przyznać, bronę włóczył... ale na małem gospodarstwie trudno było inaczej.

Pogadali z sobą u żłobu, pan z koniem.

Pani Dydakowa czegoś się dorozumiewała z niepokoju męża, ale się go badać strzegła, nie lubiąc się spowiadać tylko raz w rok około wielkiej Nocy przed księdzem. Jak też co sobie w głowie osnuł, i cztery pary wołów nie wyciągnęły. Spostrzegła żona, że wieczorem szablę dobył, słomiany powróz, którym od rdzy była okręcona, rozwinął, potem i mundur wytrzepał i jakiś węzełek zrobił, i do spiżarni poszedł. Tu podpatrzono, że spory garniec jagły w sakwę nasypał albo i więcej słoniny wędzonej sztukę dobrą oderznął, kiełbas kółek kilka zdjął z drąga, i wszystko to do nagotowanej sakwy pościągał.

— Gdzie on się tak wybiera? — mówiła sama do sienie pani Dydakowa, — co to takiego jest?

Ale w domu był rygor taki, że pytać się uchowaj Boże; jak sam co powiedział, dobrze, jeśli nie chciał, to z niego tylko połajanie dobyć było można. Najczęściej o zamiarach swych milczał, dopiero gdy się rzecz stała i skończyła, lubił rozpowiadać.

Nie było więc sposobu badać, dzieci i żona wiedziały czem to pachnie.

Nazajutrz raniusieńko pan Dydak wstał, poszedł dobrodziejowi owsa zasypać, piwa sobie sam zagrzał, siodło począł opatrywać i zawołał z alkierza jejmości.

— Moja panno — rzekł — mam to ja interes, muszę to ja pojechać, sumienna rzecz, święta sprawa, choć kości bolą, a muszę... Otóż chciałem ja asińdzce powiedziec, że się mogę zabawić, abyście się nie frasowali, wszystko będzie dobrze jejmościuniu, bo kto z Bogiem Bóg z nim.

To mówiąc jejmość pocałował.

— A gdybyś ty się Dysiu nie bardzo bawił! — rzekła z cicha.

— Djabła ja tam na zabawę jadę! — odparł kręcąc głową — a no, bądźcie spokojni, sprawię się żywo... tylko mi domu dobrze pilnujcie, i jejmość mi jak Achingerowa oknem nie uciekaj. Chłopcy! — zawołał na dwóch synów dorastających, którzy się stawili zaraz. Słyszycie! słuchać matkę bo bizun będzie w robocie... A nie próżnować! Przywiozę po obwarzanku, i po jabłku jak Bóg da powrócić.

Takie było pożegnanie pana Dydaka, który na dobrodzieja wsiadł objuczywszy go; bizunem krzyż na ziemi wprzód zakreślił i sam się przeżegnał. Potem wąsa pokręcił i ruszył kłusem z kopyta. Dziecistojąc z jejmością we wrotach tyle tylko widziały, że kędyś w stronę Chełma podążył.

Łatwo się domyślicie, dokąd poczciwy Onuczka spieszył. Dobrze zmachawszy dodobrodzieja przybył do Warszawy, wprost do pałacu kasztelana i włożywszy mundur kawalerji, zameldował się do niego.

Niedobrze wprawdzie zrozumiał Żeliga kogo mu oznajmiono, bo ludzie Dydaka Bożawolę, przekręcili na Bobaka Dążygolę. Przyjął jednak szlachcica.

Stał on u drzwi przy szabli w postawie żołnierskiej.

— Melduję się jaśnie wielmożnemu kasztelanowi — rzekł salutując go — zasłyszawszy, że źli a przewrotni ludzie najgodniejszego obywatela rzeczypospolitej nękają i prześladują, wedle rycerskiego obowiązku osobą moją stawię się ku obronie świętej sprawiedliwości. Przyjechałem umyślnie z Bożej Wólki.

Kasztelan prawie oczom i uszom wierzyć nie chciał, ale przekonawszy się, że poczciwy człek tak jego sprawę wziął do serca, iż się aż o kilkadziesiąt mil dla niej turbował, nie wiedział jak go ugościć, gdzie posadzić, i czem mu zawdzięczyć.

Drugiego dnia wypocząwszy dobrze

*

w pałacu, spytał na dole murgrabiego wychodząc na miasto w pełnej formie:

— Mój dobrodzieju, gdybyś mię raczył objaśnić, gdzie ten szelma Achinger stanął kwaterą?

— Na Tłumackiem — rzekł Moller, — to wiem, bo mi mówiono?

— Bóg zapłać za informację.

Dydak poszedł, po drodze pytał o Tłumackie, na Tłumackiem o Achingera, i tak wreszcie trafił do drzwi. Było około południa, otworzywszy sobie Bożawola wszedł w czapce, ręka w bok i stanął w progu. Achinger skurczony siedział nad papierem, gdy go zobaczył, zerwał się jak oparzony.

Szlachcic nie witał, patrzał tylko.

— Cóż ty tu jucho jakaś, — począł z góry — puściłeś się na bruk miejski z ludzi poczciwych skórę odzierać? hę?

Na takie *dictum* nie było odpowiedzi tylko do szabli skoczyć, tak też uczynił kuternoga, ale Dydak się śmiać począł.

— Daj pokój, nie tu miejsce... *non est locus...* przychodzę tylko waszeci oznajmić że go wyzywam na rękę za pokrzywdzenie na honorze mojego dobroczyńcę, za oszczerstwo i potwarz. Wyzywam waszeci nie dla pomsty ale na sąd Boży, aby przez ręce nasze objawiła się prawda. Jeśli się czujesz czystym na sumieniu, nic ci się nie stanie. Przyjacioły i świadki sobie dobierzecie jakich się wam podoba. A to wam jeszcze dodać muszę, że przybyłem za tem umyślnie, od żony, dzieci i gospodarstwa, czekać i układać się nie mam czasu i nie będę. Jeżeli mnie wasińdziej zechcesz kręcić, to porąbię wśród ulicy na gorzkie jabłko. Dixi... i kłaniam uniżenie.

Nie słuchając odpowiedzi, a raczej bełkotania Achingera, pan Dydak czapki poprawił, wąsa pokręcił i pomaluteńku wyszedł. Ale zwrócił się jeszcze.

— O mnie się dowiecie u murgrabiego Mollera w pałacu na przedmieściu, to raz, powtóre jeszcze przestrzegam o pospiech, bo czekać nie lubię.

Achingerowi się wcale nie chciało ciąć ze znanym rębaczem, ale cóż było począć, pobiegł na radę tam i sam, wszyscy mu zgodnie odpowiedzieli: Musisz wyjść.

Pan Dydak dobrał sobie za przyjaciela Rymszę, Litwina, który się był z mieszczanką ożeniwszy, w Warszawie osiadł, i miał tu kamieniczkę przy Senatorskiej ulicy; był to zawołany rębacz, do wszelkiego rodzaju spraw szablą się przecinających używany, człek nosa rubinowego, milczący i żarłok sławny. Znał go niegdyś jeszcze w kawalerji Bożawola i zaprosił na te gody.

Achingerowi trudno było znaleźć znajomego, ale gdy się rzecz rozgłosiła, napraszało mu się mnóstwo ludzi. Z tych dwóch sobie wybrał za przyjaciół, niejakiego Przypkowskiego i Wyjatkowskiego, obu nie pierwszy raz już służących w takiej sprawie. Kuternoga nie był rębaczem wprawnym, ale złożyć się umiał niegdyś i nie był ostatnim, tylko pole zależał.

Umówiono się zjechać w lasku na Bielanach, nad rzeką, gdzie miejsce oznaczyć miano.

Przyjaciele do pierwszej krwi tylko rąbać się dopuszczali, ale pan Dydak z góry oświadczył że do ostatniej bic się będzie.

— Ja mospaneńku tego — rzekł otwarcie — nie rewindykuję honoru, który się zmywa kropelką, ale chcę zgładzić ze świata łotra kuternogę, który na to żyje, aby ludzi uczciwych szatańsko męczył i zmęczył już ziemię, co go zadługo nosiła. Zabije on mnie, no, w dobrej sprawie zginąć nie wzdragam się, o sierotach poczciwi ludzie pomyślą, a nie, to poczciwszy od wszystkich Pan Bóg. Do pierwszej krwi! — powtórzył — tere fere! tego to nie będzie.

Przeprzeć go nie było podobna. Musiano ukryć czas i miejsce spotkania, bo jak gruchnęło o Dydaku po mieście, byłoby się ciekawych zebrało nad miarę, a możeby i marszałkowska straż w to weszła, aby zapobiedz pojedynkowi.

Pan Rymsza pojechał najętym powozikiem, wioząc z sobą szarpie, bandaże i plastry, szable zapaśne i małą przekąskę zimną. Dydak nie chciał inaczej jak konno, okulbaczył dobrodzieja i małym kłusikiem za nim podążył. Godzina była ranna, dla chłodu wybrana.

Achinger z przyjacioły przystawił się punktualnie; plac obrano na piaszczystym wzgórku między rzadkiemi sosnami tak, aby nikt słońca w oczy nie miał. Dydak mundur swój kawalerski zrzucił żeby, jak mówił, niepoczciwa krew go nie pobryzgała, stanął w żupaniku z rękawami zakasanemi, z szkaplerzem na piersiach, plunąwszy w dłoń, a gdy się Achinger zbliżył, i żółtszy jeszcze niż kiedykolwiek, z dobytą szerpetyną, prosił o głos.

— Mości panowie a bracia — rzekł donośnie — ponieważ jam wyzwał tego jegomoście na ręce, a losy walki wszelkiej niepewne, a sądy ludzkie dosyć bywają głupie, mam sobie za święty obowiązek zaprotestować w obliczu nieba i ziemi, żem nie uczynił tego przez złość i zemstę osobistą, ani z namowy niczyjej, ale pozywając niegodziwego przed *judicium Dei*. Ponieważ nie obudziło się w nim sumienie, trzeba być narzędziem Bożem do poprawy złego, które bruździ bezkarnie. Z jegomością panem Achingerem stojącym tu przedemną sąsiaduję o miedzę, znam go z lat dawnych jak zły szeląg, ile mi krwi napsuł, szkód wyrządził, życia struł, to Bóg policzył tylko, a ja mu w tej uroczystej godzinie odpuszczam, tak jako pragnę, aby mi Wszechmogący moje winy przebaczył. Ale nie mogłem znieść równym umysłem wyrządzonej krzywdy kobiecie niewinnej i cnotliwemu mężowi spotwarzonemu w obliczu świata przez tego jegomości dla wydarcia grosza. Patrzałem się ja na wszystko i mogłem czystem sumieniem rzec, że pan Achinger nieuczciwie postąpił. A że go ludzkie prawo niedosięże i owszem broni, trybunały będą bezsilne a wyparzone gęby adwokatów bezkarność mu wyszczekają trzebać było by ktoś za cnotą i prawdą się ujął, Nie było nikogo, staje Dydak Bożawola, towarzysz kawalerji narodowej, i pozywa żelazem na ten sąd Boży, który niechaj rozstrzyga, kto czysty, kto praw, a kto nieprawy i winien sądu kary i śmierci, amen. — Ponieważ się tu — dodał — odbywa nie pojedynek między ludźmi rozjątrzonymi ale obyczajem dawnym sąd Boży, wzywam ichmościów, abyśmy pobożnie naprzód poklęknąwszy, odmówili litanję do Orędowniczki naszej.

To mówiąc pokląkł, a szlachta rada nie rada, poszła za przykładem jego, oprócz p. Przypkowskiego, który jako Kalwin odsunął się na bok ramionami ruszywszy.

Dydak litanję odmówił głosem czystym i wyraźnem, poczem wstał, i połą żupanika otarłszy szablę, tak się odezwał jeszcze:

— Ponieważ mam mocne przekonanie w świętość sprawy ufając, iż jegomości pana Achingera o śmierć przyprawię, a w stanie grzechu zgładzić go nie pragnę, wyzywam go o to jeszcze, aby uznał się kłamcą, potwarcą, winnym i żałującym za niecne postępki swoje, a natenczas protokularnie przy świadkach spisawszy zeznanie, będę go ze spotkania kwitował.

Achinger widocznie był zaniepokojony tym długim przyborem, gniewem wrzał, bladł, ale milczał, szablę podnosząc, a Pzypkowski splunąwszy zawołał:

— Nie przyszliśmy tu gadać, ale się bić. Waszmość kazania prawisz, litanje odmawiać każesz, wymyślasz androny, daćby temu pokój, a począć co trzeba.

— Będzie na wszystko czas — odrzekł Dydak — jam tu posłem sprawiedliwości, ale nie lada jakim warchołem, o duszę ludzką mi chodzi, choćby nawet taka była z pozwoleniem kiepskiego gatunku jak pana Achingera, zawsze to Boże stworzenie. Na co się ma cieszyć piekło, że ją pochwyci.

— Dajże już pokój i panu Bogu i lucyperowi — przerwał Przepkowski — to próżna gadanina.

— Zobaczysz waszmość, że nie próżna — zawołał Dydak. — Jeszcze raz mosanie Achinger, przyznajesz się, żeś zgrzeszył i winien, czy nie?

Achinger usta zaciął tak, że mu krew pociekła z warg, drżał cały, ale szablę podniosłszy sadził już na przeciwnika.

Dydak był w swoim żywiole, a szabelką począł jak wirtuoz robić, ledwie parę razy machnął, a poznali wszyscy co to się święci. Nie upłynęło i Zdrowaś Marja ciął dwa razy Achingera, przyjaciele chcieli rozejmować, ale huknął tak, że odstąpili.

Igraszką dla niego był taki przeciwnik.

— Teraz waszmości płatnę po pysku — wołał Dydak i ciął jak powiedział — teraz w ucho — i obernął go jak Malchusa — teraz w ramię...

Na ostatek ogromnym głosem zawołał: A teraz ręka, co fałsz podpisywała precz!

Jednem cięciem pięść z szablą odpadła na ziemię, jak od topora.

— Ot i dosyć! — rzekł Dydak patrząc już na szablę, nie na przeciwnika. — Boży sąd dokonany. Życie zostawiłem na to waszmości, abyś do pokuty miał czas i przejednania się z Bogiem i z ludźmi. Reflektujże się.

Achinger jęcząc leżał na ziemi, ale Przypkowski poskoczył na plac cały zaperzony.

— Mospaneńku — zawołał — żeś podołał jeszcze nie osobliwość, ale ja proszę... ja proszę, ze mną się spróbujcie.

Dydak stanął, podniósł głowę.

— Za co się będziemy bić? — spytał.

— Ja biorę jego stronę. Co to sąd Boży... jaki sąd Boży, rzecz była przewidziana, bo ten się licho bije, chcecie sądu... na to macie mnie.

— A! to waszmość chcesz djabła stronę brać? — spytał szlachcic.

— Djabła czy nie djabła, ja pomszczę przyjaciela.

— Ale mospaneńku, ten przyjaciel był nicpoń... a jam go wyzwał na *judicium Dei*. Bóg osądził, czy pan dekretowi Bożemu chcesz się sprzeciwiać?

— Co tu ma pan Bóg do tej sprawy — wyrwał się Przypkowski — sądź jak chcesz, mów sam co ci ślina do gęby przyniesie, a bij się.

— Ja tylko jednego słowa proszę — spokojnie dodał Dydak — czy jegomość apelujesz od sądu Bożego? hę?

— Apeluję.

— Zatem w imię Ojca i Syna staję w obronie wyroku przez najwyższą sprawiedliwość ferowanego.

Z niezmierną ciekawością otoczyli pana Przepkowskiego i Dydaka. Jakkolwiek nie ułomek, szlachcic był o pół głowy niższy od przeciwnika, który jeszcze i tę miał wyższość, że się na niewielkiej piasku kupce umieścił i górował nad Bożawolą.

W milczeniu złożyli się raz, drugi raz, szable brzęknęły i Dydak głową kiwnął.

— Dobrze się bije, ale *contra Deum* to nic nie pomoże! — zawołał.

— Hej! hej! czy masz waćpan żonę i dzieci? — zapytał bijąc się ciągle.

— Wdowiec i bezdzietny — rzekł ktoś z tyłu — ale ma kochanicę.

— A! to w rachubę nie wchodzi — mówił Dydak zcinając się wciąż tak, aby poznać grę przeciwnika, jego ruchy i chody.

— Teraz mospaneńku przez łeb.

(Dok. nast.)

STUDJA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka starorzymska.

(*Ciąg dalszy*).

A gdy się trafił zupełnie piękny Marek Aureli, rzeźbiarz rzymski odtworzył go z marmuru zupełnie pięknym. Można go widzieć w tymże kapitolu. Bogaty trefiony włos zaczesany na czoło, bogata trefiona broda zdobi zupełnie grecką twarz, a spokój głęboki zdobi rysy. Myślałbyś, że to grecki bóg, i że to dzieło wyszło z pod greckiege dłuta. A omyliłbyś się ze wszystkiem. To imperator Romy i Rzymianin go rzeźbił. Tylko wypadek zrządził, że ów imperator miał doskonale piękne rysy, że od dzieciństwa miał twarz zadumaną, spokojną, nieruchomą, na której nie widziano nigdy ani uśmiechu, ani zmarszczki. A sztukmistrz zręczny i sumienny odtwarzając podobieństwo, odtworzył ideał, o który mu wcale nie chodziło.

Powtarzam — o grecki ideał nie chodziło wcale, nie chodziło o żaden ideał, jedno o odtworzenie podobizny mężów co władali ojczyzną. Odtwarzano ją najczęściej z marmuru, bo to materjał najodpowiedniejszy. Ale gdy się cesarz cieszył wielką narodu miłością, rzeźbiono jego popiersia z twardszego i kosztowniejszego bazaltu, albo z porfiru, jak popiersie Wespazjana w zbiorze Ambroza w Wiedniu. Wtedy rzecz traciła na wartości jako rzeźba, ale zyskiwała na wartości jako materjał... a chodziło Rzymianinowi o to, by wielkiego męża uczcić kosztownem popiersiem. Misternie z marmuru rzeźbione popiersia miały w jego oczach wartość podwójną: pamiątkową, a potem artystyczną. Bo Rzymianin znał się na technice rzeźbiarskiej i tak ją cenił, że przechowywał pięknie wykonane popiersia wygnanych albo zamordowanych książąt, choć ich pamięć była nienawistną. Ale koszt bazaltu równał się i przewyższał koszt roboty. Więc Rzymianin cenił wysoko z drogiego materjału, źle wykonane popiersie brzydkiego cesarza, o nic nie znaczącym wyrazie, a wielkich zasługach.

Ktoby się chciał lepiej przekonać o czysto urzędowym charakterze portretów rzymskich, niech spojrzy już nie na popiersia, ale na całe posągi. W posągach widać ręce, nogi i strój. Gdyby wierność rzymskich portretów miała swoje źródło w zamiłowaniu do realistycznego odtwarzania natury, widzielibyśmy niezawodnie ręce ułożone w sposób charakterystyczny, i strój, któryby całym układem swoim zdradzał usposobienie modelu. W rzadkich greckich posągach portretowych, widzimy twarze bardzo idealizowane, ale postawy, układ rąk i układ szat bardzo naturalne i charakterystyczne. W portretach rzymskich wszystko dzieje się przeciwnie. Twarze wykonane z zupełnym realizmem, szaty i postawa zupełnie konwencjonalne i teatralne.

Takim jest cudny posąg Oktawiusza Augusta, przechowany w muzeum Watykańskiem w Rzymie. Wykonanie tu nie ustępuje wcale wykonaniu rzeźb greckich. Głowa bardzo realistyczna, nieruchomie ale prawdziwie osadzona na szyi, należy do najpiękniejszych głów rzymskich. Nos nie wielki a orli, rysy zresztą zupełnie regularne, twarz ogolona, młoda jeszcze a nieco kwadratowa. Wszystko znamionuje gładkiego, przytomnego, zdolnego człowieka. Bylibyśmy ciekawi dowiedzieć się coś więcej o nim. Pewno posiadł to, co później nazwano dystynkcją. Jeźli tak, poznamy rzecz po układzie rąk i po pewnej starannej a nie pedantycznej prostocie stroju. Ciekawiśmy jak trzymał ręce, jak stał i na czem się opierał, bo to wszystko powie nam wiele o człowieku. Więc z zajęciem spojrzymy na strój i na postawę.

I cóż zobaczymy? Człowieka w postawie pięknej, ale gwałtownej, wymuszonej, niezwykłej, teatralnej. W takiej postawie prawie tylko zły aktor stanie, gdy zechce udawać przemawiającego imperatora. W lewicy zwieszonej spoczęło berło, i ta lewica z wytężeniem zgięta w łokciu, tworząc tak linję wybitną, ale niekoniecznie spokojną. Dłoń tedy, w której berło spoczywa, znajduje się w okolicy pasa, o wiele wyżej niźli by to chciała natura. Jeśli już lewica wymuszona, prawica nienaturalna ze wszystkiem, wzniesiona do góry, jakby wskazywała niebo. Gdyby nie głowa, niewzruszenie spokojna, myślałbyś, że cesarz przemawia w gwałtownem wzruszeniu. Tak widzisz, że to jakiś gest górny, ni to rozkazujący, ni to błogosławiący, bardzo niejasny, bardzo nieprawdziwy, ale imponujący tem, że odrywa wzrok i myśl od owego poziomu, do którego prawo ciężkości przykuwa. Nogi ułożone jak u kroczącego przed siebie.

Strój niemniej teatralny od postawy. Pancerz o króciutkich rękawach, kończy się powyżej kolan. Nogi i ręce całkiem nagie, naga szyja. Pancerz nakryty płaskorzeźbami, a jakaś draperja zwisła, niewiedzieć jak, w około lewicy i pasa, tworząc zawiesiste fałdy.

I dlaczegóż ta pompa nienaturalna? Oto dla tego, że nie chodziło rzeźbiarzowi i Rzymianom o Oktawiusza, ale o imperatora jako o uosobistnienie ojczyzny. Bogów greckich wynoszono ponad poziom, zbliżając ich do ideału. Tu chodziło o wierną podobiznę rysów, więc nie mogło być mowy o ideale, ale chodziło także o to, by pokazać istotę wyższą nad ogół ludzkości. Poradzono sobie tedy niemożliwą postawą, która wskazywała oczywiście, że tu nie chodzi o człowieka podobnego do tych, co chodzą codzień po forum, i poradzono sobie teatralnemi szatami.

Podobnie jawi się i piękny Marek Aureli, na placu przed Kapitolem. Tu imperator ze spiżu siadł na konia. Koń, wykonany wedle typu, o którym będzie mowa poniżej, zagiął szyję bardzo paradnie, i bardzo uczenie, i tak gryzie wędzidło, że mu się widocznie pjana z pyska toczy. I nogi rozkracza uczenie i pompatycznie, jak to mówią hiszpańskim sztychem. Jeździec przebrany tak jak Oktawian, ma tylko płaszcz naturalniej przez ramię zarzucony. Jedną ręką trzyma cugle, drugą arcypompatycznie rozłożył błogosławiąc.

Widzimy tedy, że tu dwaj dobrzy imperatorowie wyobrażeni jako rodzaj bogów opiekuńczych Rzeczypospolitej. Podobną rolę odgrywa w Kapitolu i jedna imperatorowa Agrypina Augusta. I jej głowa realistycznie, niemiłosiernie wykonana. Żaden rzeźbiarz dzisiejszy nie miałby odwagi tak wielką damę przedstawić, tak każdą zmarszczkę na jej twarzy wykonać. Kobieta stara — a zdaje się, że nigdy nie była piękną. Wyraz ma nic nieznaczący, a zaczesana śmiesznie i przesadnie podług współczesnej mody. Ale jakżeż pompatycznie zasiada na tronie w majestacie. Jakżeż każdy fałd długiego płaszcza, jakżeż każdy ruch rąk i każde oczu wejrzenie symbolem i Romy i władzy!

Ta symbolika czasem jeszcze jaskrawsza. Wyobrażano wprost tego lub owego boga z rysami panującego cesarza, by okazać, że cesarz zastępcą bóstwa na ziemi. I taka apoteoza spotkała może właśnie najgorszych cesarzy. Domicjan był ponurym dziwakiem, i lubował się w krwawych zabawach, a przedstawiono go jako Herkulesa, wykopano temu lat kilkanaście i ustawiono w Watykanie. Postawa Heraklesa jest tradycyjna. Stoi nagi oparty na buławie. Ale głowa jego wcale nie boska i wcale nie piękna. Nos gruby i zwisły, brwi wystające, usta niekształtne, oczy małe niemiło rażą u boga. Ale takie rysy miał cesarz, a symbolika wymagała tego, by cesarza rysy bogu nadano. A aby rzecz tem cenniejszą uczynić, wykonano posąg z pozłacanego spiżu.

Oto może i dość o portrecie rzymskim. Uczucie narodowe, a nie zmysł estetyczny kierowało dłutem rzeźbiarzy. Zmysł estetyczny bywa różnym u różnych ludzi, a że on dyktował natchnieniu Greków, więc można w Grecji rozróżniać różne różnych mistrzów maniery. W Rzymie nakazaną z góry była symbolika — nakazanym był i przedmiot i sposób wykonania. I ztąd poszło, że nie znamy nawet imion rzymskich rzeźbiarzy — tak utwory jednego podobne do utworów drugiego, że nikt rozmaitości dłuta tu

nie rozróżni. Są tylko mniej i bardziej udane dzieła.

I ten sam niezmienny charakter cechuje całe rzeźbiarstwo rzymskie. Zawsze dwie tylko myśli przewodzą artystom: Myśl uwiecznienia rzeczy ojczystych, myśl czysto ornamentacyjnego a kosztownego ozdobienia gmachów publicznych.

Płaskorzeźby służyły zazwyczaj ku obydwu celom. Zdobiły łuk tryumfalny, albo spiżową kolumnę, a wyobrażały czy to epizod szczęśliwej wojny, czy też epizod tryumfu. Trudno o rzeczy staranniej i lepiej wykonane — i trudno o rzeczy, w którychby mniej o piękno dbano. Widać na kolumnie Trajana mnóstwo scen różnych, a niezmiernie ciekawych dla historyka. Widać chaty naddunajskich ludów, stroje ich dzikie i niepiękne twarze. Każda głowa realistycznym portretem, każdy szczegół chwycony na gorącym uczynku. I techniczne wymagania płaskorzeźby uwzględnione. Wszystkie osoby prawie na tym samym planie, wszystkie można namacać, przez co efekt plastyczny w zupełności zachowany. Widać i konie i bydło dziwnie charakterystyczne. Ale zresztą układ taki, jaki wypadek nadarzył. Ani śladu harmonji linji, idealności twarzy albo patosu wyrazów. Nic z tego wszystkiego, co Greczyn uważał za przedmiot sztuki. To kampanja zwycięska opisana dłutem a nie piórem. Rzecz dla nas ciekawa, a dla Rzymian miła bo chlubna. Rzecz dobrze wykonana i o tyle piękna, w pewnem znaczeniu tego słowa. Ale rzecz wcale nie piękna estetycznie, jedno obojętna.

I to samo da się powiedzieć o tak sławnych płaskorzeźbach na łuku Tytusa, z tym wszakże dodatkiem, że tu żywioł teatralny i pompatyczny dość silnie występuje. Widać tu długie szeregi Rzymian przesadnie udrapowanych w togi a wcale niepięknych, niosących dziwne sprzęty zdobyte w świątyni Jerozolimskiej.

W jednym tylko punkcie bywała idealną sztuka rzymska, a to wtedy, gdy wyobrażała zwierzęta. A czyniła to często, bo często wyobrażała tryumfy i święcone przy tryumfach ofiary. Otóż tryumfator wjeżdżał do miasta na rydwanie ciągnionym przez parę albo czwórkę koni, a bogowie radowali się ofiarami bydląt. Przedstawiano tedy zrazu na płaskorzeźbach i koni i bydło, a potem odtwarzano posągi zupełne, przekonawszy się, że rydwany uprzęgnięte, albo byki rogate pięknie bardzo ulice i placy zdobią. I tu, powiadam, szukano ideału.

Lubowano się wielce w sztuce greckiej, kopiowano ją, ilekroć nie chciano coś patrjotycznego, coś specyficznie rzymskiego stworzyć, i kopiowano ją nieraz i wtedy, gdy zwierzęta odtwarzano. Doprowadzono jednak tę sztukę dalej może jak Grecy, a my znamy na każdy sposób lepiej rzymskie jak greckie zwierzęta.

Są to ideały, typy zwierząt. Każdy byk jest bykiem *par excellence*. Wszystkich innych byków na świecie przypomina, a różni się od nich tem tylko, że nic w nim nie wychodzi po za przeciętnię rodzaju, i że lepiej utrzymany, a może i silniejszy od byków ogółu. I koń, koniem idealnym, średnicą pomiędzy wszystkiemi końmi. Główka raczej mała, kark silny, nogi może trochę wysokie, zad ogromny — wszystko to zdaje się cechy rasy koni starorzymskich, wszystko to z pewnością cechy koni teraźniejszych w Rzymie. Ale na posągach i rzeźbach rasa dziwnie silna i jednostajna, brak zupełny wybryków indywidualnych, a siła i zdrowie zupełne. Są to tedy ideały koni rzymskich.

I to samo da się powiedzieć o wieprzu, który tylko tłuściejszy o wiele od wieprzów śmiertelnych, o wełniastej owcy, i zwinnym psie, choć ten ostatni typ może się najmniej udawał. Zwierzęta dzikie mniej odchodzą i w naturze od ideału, i każdy dzik lub lew każdy dziwnie do lwa lub dzika innego podobny. Rzeźbiarz rzymski tedy usiłował tylko lwy i dziki silniejsze robić.

Nie było potrzeby portretowej wierności w koniach i bykach, w dzikach i lwach. One nie były przedstawicielami narodu rzymskiego, ich pamięć nie była drogą ojczyźnie; więc tu rzeźbiarze rzymscy mieli wolne ręce i szukali tylko piękna. Tu tedy pojęcia rzymskie nie różniły się bynajmniej od pojęć greckich. Zadowalniano rozum przedstawiając jemu typ idealny — i tem samem podnoszono niejako, ubóstwiano zwierzęta, wynosząc je po nad przemijającą rzeczywistość. A na to by je uczynić jeszcze bardziej godnemi podziwu, nadawano im nadnaturalną siłę. Widz współczuwał z tem boskiem zwierzęciem. Nie upokarzało go to prawie — bo zwierzę było doskonałe, a siła zwierza udzielała się niejako widzowi. (C. d. n.)

Z przeszłości cechów w Polsce

przez

Franciszka Ksawerego Martynowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

Zbliżając się ku końcowi niniejszej rzeczy, nie możemy pominąć milczeniem kupieckiego monopolu, będącego właściwością średnich stuleci. Z dotychczasowego toku naszego szkicu widzieliśmy, że korporacje rzemieślnicze dawnych stuleci pojmowały istotnie swoje zadanie, i odznaczały się głębokiem zrozumieniem stanowiska rzemiosł i przemysłu w społeczeństwie. Ale i tu nie obeszło się bez krótkowidzenia. Cechy bowiem średniowieczne, dbając o dobroć wyrobów rzemiosł rozlicznych, jednocześnie uniemożebniały konkurencję handlową w szerszem tego słowa znaczeniu. Każde miasto i korporacja rzemieślnicza zdobywały sobie u władzy coraz to nowe przywileje, wyłącznie na swoją korzyść zwrócone; w miarę więc o ile się owe przywileje rozszerzyły w jednem miejscu, lub dla jednej korporacji, cierpiały na tem inne osady i stowarzyszenia. Częstokroć też zdarzało się, że jedno i to samo miasto posiadało naraz kilka uprzywilejowanych targów zbytu, podczas gdy innym osadom nie wolno było nigdzie indziej spieniężać swoich wyrobów, jak tylko na miejscu. Kto zna cokolwiek średniowieczne stosunki handlowe, ten, się o tem niejednokrotnie przekonał.

Takie monopolizowanie targów zbytu nie mogło być korzystnem tak dla publiczności, jak i samych rzemieślników, tem bardziej, że i uprzywilejowane drogi handlowe stawały tutaj przeszkodą. Czytamy np. w statucie cechowym szewców kobylińskich „aby z inszych miast, miasteczek, wsi, tak królewskich, jako duchowych i ślacheckich, żaden człowiek roboty zwierzchliwej, butów, trzewików pospolitych i szlacheckich, skórni wszelakich, w jarmarki i w żaden inny czas do Kobylina nie śmiał przywozić i sprzedawać pod utraceniem tegoż do bractwa.“ I następujący ustęp tegoż statutu w zasadzie nie do innego celu zmierza:

„Aby Litwa, która robotę swą zwykła do miast koronnych przywozić, tę robotę starszym tego bractwa pokazywała, a jeżeliby niedobra była, będzie wolno temu bractwu onę pobierać, ani też Litwa bez dozwolenia tego bractwa roboty takowej w Kobylinie przedawać ma, pod jej utraceniem.“ (Łukaszewicz J. Opis miast. str. 123 i 124 T. I.) Podobnie i gancarze tegoż miasta (tamże str. 107.) postanawiają „według nadanego nam prawa i okupnego wilkierza z miasta Kalisza żaden z ludzi obcych i inszych miast, miasteczek, wsi i innych miejsc, nie będzie śmiał nam do Kalisza tak na targ, jako i na jarmark, ileby ich było przez rok, garnków, i wszelkiej roboty temu rzemiosłu przynależącej ku przeszkadzaniu brackiej robocie, i żaden obcy niema się ważyć przedawać, pod utratą wszystkiej roboty, którąbykolwiek miał.“

Ponieważ prawie wszystkie miasta posiadały tego rodzaju przywileje, zatem publiczność po największej części musiała się ograniczać na nabywaniu miejscowych wyrobów. Ochraniało to niezawodnie kraj przed napływem cudzoziemskich towarów rzemieślniczych — a dla koła kupujących ten monopol musiał być niekorzystnym.

Na przypadek tylko, gdyby miejscowi rzemieślnicy nie dostarczali należytej ilości wyrobów, albo jeśliby przedmioty ich rękodzielnictwa i fabryk były lichego gatunku, natenczas monopol ustawał, i wolno było ościennym przemysłowcom konkurować w sprzedaży towaru.

We Lwowie np. r. 1610 rozkazano garncarzom dobre garnki zrobić i mieć ich dostateczny zapas dla wygody publicznej pod zagrożeniem, że pozwoli się obcym przywozić i sprzedawać. (Zubrzycki. Kronika miasta Lwowa str. 241)

Monopol cechowy tak dalece się rozwinął w średnich wiekach, że przywłaszczał sobie częstokroć wyłączne prawo nabywania pewnych przedmiotów. Cechy wyrabiały sobie zwykle przywileje, że im tylko wolno na targach zakupywać surowe przedmioty; stąd szewc miał pierwszeństwo przed publicznością w nabywaniu skór wyprawnych, a stolarz w nabywaniu desek na targ przywiezionych. Dopiero gdy się wszystkie warstaty zaopatrzyły w potrzebny im materjał, wtedy mogli obcy przystępować do zakupna. Takie monopolizowanie stanowiło ceny, do których chcąc nie chcąc musieli się stosować sprzedający, jeśli nie chcieli nazad towarów do domu zabierać. Statut cechowy płócienników kobylińskich z pierwszej połowy XVII wieku postanawia „aby nikomu przędzy nie wolno było wykupywać, okrom płócienników a mieszczek kaliskich i to tylko na swą potrzebę. Także i przekupniów i ludzi inszych postronnych i tych, który w mieście mieszkają, przędzę wykupują i do innych miast wynoszą, albo wywożą, aby im była wzięta i na ubogie zrobiona“. (J. Łukaszewicz. Opis miast T. I. str. 130.)

Ograniczając się na tem miejscu jedynie do podniesienia niektórych ważniejszych rysów z życia średniowiecznych korporacyj rzemieślniczych — nie możemy tem samem zastanawiać się obszerniej nad rzemieślnikami nienależącymi do stowarzyszeń cechowych. Cechy uważały ich na równi z inną nierzemieślniczą publicznością, stąd też, nietylko że odmawiały im prawa i przywilejów uzyskanych dla siebie, ale prześladowały onych na każdym kroku, jeśli się tylko sposobność po temu zdarzyła. Rzemieślnicy niecechowi zwani podówczas „partaczami“, nie mogli swobodnie warstatów swoich prowadzić, gdyż lada chwila mogli się pojawić miejscy mistrzowie i zabrać im na rzecz cechu cały warstat i robotę

wszystką. Samowola ta uprzywilejowanych rękodzielników, obnosiła się i do tych nawet rzemieślników, co nieopodal miasta we wsiach pobliskich osiedli.

Nadmieniwszy wreszcie, że w Polsce wolno było tylko należeć do cechu rzemieślnikowi katolickiemu wyznania, że wyznawcy innej religji tworzyli wspólnie z żydami tak zwane „cechy łatane," które uważano za drugorzędne — wypada nam obecnie rzucić okiem na zasługi cechów i w ogóle rzemieślników w obronie miast ojczystych.

Jak to już na wstępie zauważyliśmy, miasta średniowieczne aż pod koniec zeszłego stulecia składały się wyłącznie prawie z samych stowarzyszeń najróżnorodniejszego rodzaju i celu. Każda z jednostek miejskich należała do pewnego cechu lub religijnego bractwa, a wszystkie te korporacje, pomimo że wiązały się między sobą wyłącznie dla swego docra, w razach ogólnej potrzeby łączyły się wspólnie, dla zaradzenia złemu. Gród więc średniowieczny podzielony na wiele ciał osobnych i zorganizowany należycie pod względem społecznym, przedstawiał jakby jedną wielką rodzinę, która pod przewodnictwem starszyzny zastanawiała się nad rozszerzeniem dobra swojego, a na przypadek grożącego niebezpieczeństwa, wzajemnie podawała sobie ręce, aby chmurę nieszczęścia odeprzeć wspólnemi siłami. Nieustalone jeszcze podonczas stosunki państwowe i polityczne, nieustanne walki z nieprzyjacielskiemi ludami, i nierzadkie krwawe zaburzenia domowe, nastręczały co chwila sposobność użycia połączonych sił w obronie mienia i życia mieszkańców. Napady wojenne i gromienie nieprzyjaciół, były tu najważniejszą pobudką.

Względnie też do ducha czasu, stosunków i potrzeb miejscowych, każde średniowieczne miasto większe, przedstawiało rodzaj fortecy silnie opatrzonej, o czem zresztą mówiliśmy w początkach niniejszej rzeczy. Każde rzemiosło posiadało swoje uprzywilejowane ulice i dzielnice miasta, czego jeszcze po dziś dzień zostały ślady w takich nazwach, jak ulica szewska, stolarska i t. p. W pobliżu zaś siedziby pewnego rzemiosła znajdowała się zwykle brama lub baszta fortyfikacyjna, wyłącznie jego opiece powierzona. Zacytujemy jeden z takich przykładów We Lwowie r. 1445 (Zubrzycki Kronika miasta Lwowa str. 105—106) kiedy ukończono baszty i mury, wiodące naokoło miasta, rozdano je cechom rzemieślniczym, od których później i nazwiska miały, z obowiązaniem, aby każdy cech swoją basztę utrzymywał, potrzebną bronią i amunicją ją opatrzył, w razie wypadku na obronę miasta do swej baszty się gromadził i w niej na murach walczył. Baszty te, których było siedmnaście, szły następującym porządkiem: 1.) brama krakowska należała do kuśnierzów 2.) brama strumiłowska około kościoła P. Marji. zostająca w opiece miechowników, mydlarzy i blacharzy 3.) mieczników 4.) tkaczów 5.) czapników i siodlarzy 6.) piwowarów i miodowarów za Ormianami 7.) rymarska około Dominikanów. 8.) mularzów, powróżników i tokarzów 9.) szewska zwana także bernardyńską. 10.) garncarzów i kotlarzy, między Bernardynami i ulicą halicką 11.) krawiecka albo halicka 12.) złotników 13.) rzeźników 14.) stolarzy, bednarzy i stelmachów 15) kowali, ślusarzów i iglarzy 16.) kramarzów 17.) piekarzów.

Toż samo widzimy w Krakowie i innych polskich miastach bramy i baszty fortyfikacyjne, zostające pod opieką cechów różnego rodzaju.

Ze względu, że korporacje rzemieślnicze były w posiadaniu bram i baszt grodzkich, nie przynosiły te budowle żadnej korzyści kasie miejskiej jak to n. p. zanotowano w aktach radzieckich Krakowa pod r. 1571 (A. Grabowski Skarbniczka str. 6) że „wszystkie prawie baszty naokoło miasta stojące, rozdane są cechom miejskim, i z tego względu miasto z nich nie pobiera żadnego dochu."

Ależ trudno było wymagać czynszu, choćby był jakowy, skoro wszystkie potrzeby wojenne spoczywały na głowie rzemieślniczej braci. Zresztą mieszkania jakie bywały w basztach i bramach miejskich, zajmowali zawsze ubodzy rzemieślnicy, lub stróże przez nich utrzymywani, ażeby za to odbywali straż wojskową i pilnowali porządku. Brama i baszta taka, była zarazem magazynem zbroi i cechowego oręża.

W jakiegoż tedy rodzaju broń i zbroje zaopatrywały się cechy rzemieślnicze, i w jakiej ilości onych mieć powinni? Oto widzimy między innemi w rewizji zapasów oręża, przyborów wojennych i uzbrojenia cechów krakowskich odprawionej przez rajców r. 1427 (A Grabowski Skarbniczka str. 13—15.) że „białoskórnicy mają 2 zbroje, 3 pancerze, 2 szyszaki, 4 tarcze, a mieć jeszcze powinni 2 pancerze, 3 szyszaki, 10 oszczepów i 4 strzelby; nożownicy mają 10 szyszaków 6 pancerzów, 10 przyłbic, 10 kirysów, 4 oszczepy i 4 tarcze; szewcy mają 8 pancerzów, 14 tarcz, 12 szyszaków, jednę małą przyłbicę, a jednę półkirysią, a mieć powinni 40 pancerzów, 5 strzelb 10 oszczepów i 10 cep."

Tego rodzaju zapasy wojenne posiadają wszystkie inne cechy Krakowa, których naonczas było tam około trzydziestu. Miasto Kazimierz pod Krakowem przekazuje nam spis broni i zbroi cechowych jeszcze z 1390 r. — a ileż to grodów odwiecznej Polski mogło by się tego rodzaju inwentarzami poszczycić! (Dok. nast.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

Gabryel zrzeka się domu i majątku.

Przykro mi nadmienić, iż wyraz twarzy pani Conroy, gdy milczała, nie zewszystkiem był zgodny z żałośnem rozrzewnieniem złamanego serca, podczas rozmowy z Henrykiem Devarges. Coś podobnego do uśmiechu prześliznęło się po jej wązkich ustach gdy szła po schodach do siebie.

Ale tu uczuła nagle, że słabość poczyna ją przezwyciężać. Weszła do domu pozornie pustego i bezzwłocznie udała się do swego buduaru, gdzie zmęczona i po dziecinnemu nadąsana na własną swoją słabość, padła na sofę.

Nikt nie zauważył jej wejścia. Chińczycy do służby należący, znajdowali się w pralni. Gospodyni skorzystała z nieobecności pani i pobiegła do miasta. Niezwykłe gorąco uniewinniało poniekąd pewien nieład w domu.

Była bardzo zamyślona. Gwałtowne wstrząśnienie, jakiego doznała na widok Devargesa, już przeminęło. Czuła żywe zadowolenie z tego, że jeszcze miała dość siły by znaleść w nim sprzymierzeńca przeciw Ramirezowi, którego obawiać się miała teraz wszelkie powody. Dotąd zazdrość jego okazywała się tylko w chełpliwej gadaninie; ale ostatnia z zimną krwią obmyślana zdrada, dreszczem ją nabawiała.

Postanowiła raz jeszcze rozmówić się z Henrykiem Devarges, chciała mu wystawić niesprawiedliwość jakiej doznała ze strony zmarłego brata i męża, a mogła spodziewać się, że będzie trzymał Ramireza w szachu, dopóki nie wyniosą się z tych miejsc z Gabryelem.

Raz jeden wyniosłszy się mogłaby zupełnie poświęcić się swemu celowi, to jest po:yskaniu miłości Gabryela, bez której — jak teraz czuć poczynała — życie jej, ideały i plany, w nic się rozwieją.

Zamierzyła tedy odjazd o ile można przyspieszyć. Od czasu jak poczęły cbiegać pogłoski podające w wątpliwość wartość kopalni, Gabryel poczytał za swą powinność, wytrwać przy swym udziale i spokojnie przyjąć wszystko coby się stać mogło, — z tego też powodu wyjazd swój ciągle odkładał. Chciała mu wytłumaczyć, że bezzwłoczne jego oddalenie się było życzeniem Dumphyego, tego zaś ostatniego chciała namówić by napisał do niej list w tym duchu.

Uśmiechnęła się, pomyślawszy o władzy do jakiej niedawno niedawno doszła nad tym pieniężnym bałwanem, dzięki jego trwożliwości. Teraz mogłaby wszystko to zużytkować gdyby nie fizyczna jej słabość Zgrzytnęła zębami na tę myśl; że w takim czasie stała się... ach!... Ale po chwili inny przedstawił się jej w myśli obraz... zamknęła oczy, by tem lepiej nasycić się jego zwodniczą pięknością. Być może, iż tego tylko potrzebowała by uspokoić serce swe...

Zatrzymała się. Co to za szmer?...

Dom był tak spokojny, tak cichy, że mogła słyszeć dzięcioła w dach pukającego. Ale teraz wyraźnie usłyszała powolne, ciężkie męskie kroki w jednym z górnych pokojów. Pani Conroy nie podlegała żadnym właściwym swej płci nerwowym przestrachom pod względem duchów lub nocnych rozbójników; posiadała ona zbyt wiele zastanowienia; wszakże poczęła przysłuchiwać się ciekawie. Szmer powtórzył się. Teraz nie mogła już wątpić. Były to kroki tego człowieka, o którym niedawno myślała — kroki jej męża.

Co on tam robi? W ciągu kilku miesięcy małżeńskiego pożycia nigdy przedtem nie bywał o tej porze w domu. W pokoju na górze mieściły się między innemi rupieciami rozmaite narzędzia z dawniejszej jego górniczej praktyki. Tam stał także stary wór, w którym, jak słyszała od niego, znajdowały się niektóre rzeczy należące niegdyś do jego matki. Ale zawsze dziwnem było, że on tam zachodził. Mógłby przecie zrobić to w innym czasie, nie koniecznie teraz. Opanowała ją straszliwa przesądna trwoga, trwoga którąby w każdym innym razie pogardliwie wyśmiała. Ale oto, znowu coś się porusza. Zatrzymała dech w sobie.

Stąpanie ciągle się rozlegało. Wszedł na górny korytarz i powoli kroczył po schodach. Każdemu krokowi odpowiadało uderzenie jej serca. Doszedł do dolnego korytarza i zdawał się wahać. Potem poszedł ku jej drzwiom i znowu zawahał się. Jeszcze jedna chwila takiej niepewności i trwogi, a czuła że krzyknie. Nareszcie drzwi otworzyły się powoli i Gabryel stanął przed nią.

W jednem szybkiem, bezpośrednio do serca przemawiającem spojrzeniu wyczytała swój wyrok; wiedział o wszystkiem! A jednak w oczach jego, chociaż jednocześnie były poważne i smutne, nie było ani oburzenia ani gniewu. Być może, iż wyrażały one tylko nieco mniej nieśmiałości aniżeli zwykle.

Ubranie swe zmienił na grubą bluzę górniczą, w jednej ręce trzymał worek górniczy, w drugiej kilof i łopatę. Wszystkie te rzeczy położył powoli i ostrożnie, a gdy dostrzegł jej wzrok nerwowo wytężony, powiedział tonem łagodnym:

— Tu w torbie znajduje się tylko wełniana kołdra i parę starych sukień. Mogę otworzyć i pokazać, jeżeli pani sobie tego życzy. Ale pani znasz mnie dość dobrze, by powierzyć, że nic nie wywlokę z domu czego tam nie wniosłem.

— Chcesz odejść? zapytała głosem, który zdawał się echem odbijać w jej sumieniu.

— Odchodzę. Jeżelibyś pani nie wiedziała dlaczego, to sądzę że mogę to jej wyjaśnić. Dziś rano byłem na pagórku, tam przy starej chatce.

Zdawało się jej jakby już to raz słyszała od niego. Tak wszystko wydało się jej naturalnem.

— Otóż powiedziałem — ciągnął dalej — że właśnie byłem na pagórku gdym usłyszał głosy, a gdym wyjrzał, dostrzegłem panią z obcym mężczyzną. Jeżeli pani znasz mnie, to nie potrzebuję mówić, iż nie moją jest rzeczą słuchać tego co do mnie nie należy i czego słyszeć nie powinienem. Mogłabyś pani stać tam dotąd, gdybym nie dostrzegł jakiegoś człowieka ukrywającego się za drzewami, szpiegującego i podsłuchującego. Jak tylko go ujrzałem, natychmiast poznałem w nim owego ubogiego Meksykanina, którego przed rokiem przeszło leczyłem tu w miasteczku na nogi. Podszedłem ku niemu; gdy mnie dostrzegł widocznem było, że chętnie umknąłby. Ale położyłem na nim rękę... i... został.

Było coś tak bezpośrednio wzniosłego i szlachetnego w lekkiem poruszeniu ręki tego olbrzyma, którem kładł nacisk na swe wyrazy, że sama pani Conroy uczuła się wstrząśniętą, a jednak przyjemnie wstrząśniętą

Ale pomyślała: „Gdyby mnie kochał, to zabiłby go na miejscu.“

— Co mi ten człowiek powiedział, ciągnął Gabryel dalej, — a gardło widocznie mu się ściskało, tego — nie uznaję za potrzebne opowiadać. Pani go znasz dawniej odemnie, wnoszę zatem, iż domyślasz się o co chodziło. Że to jest prawdą, to czytam teraz w twarzy pani, a również wnoszę, że nieraz dawno już mogłem wyczytać z rozmaitych postępków, od czasu jak jesteśmy razem.

Przy tych słowach potarł czoło, jakby szeroką swą dłonią chciał z niego zetrzeć kłopoty i troski, które na niem zaległy. Następie wyjął jakiś papier z kieszeni i mówił dalej:

— Wygotowałem tu małe pisanie, które zamierzam doręczyć adwokatowi Maxwellowi. Na mocy tego pisania, wracam pani wszystko co od niej otrzymałem i co otrzymać spodziewałem się. Nie mogę bowiem przystać na to, co mi ten Meksykanin mówił, że to co Gracja otrzymała w podarunku, do mnie należy. Sądzę, że ona sama to uporządkuje jeżeli kiedy powróci; a jeżeli się co do tego dziecięcia nie mylę, to ona całego tego kramu nie dotknie. Zawsze byliśmy ludźmi prostymi, chociaż nie właściwem jest bym sam siebie za przykład stawił, zawsze byliśmy bez żadnej szkoły i maniery. Ale jeszcze nie żył na bożej ziemi żaden Conroy, którýby łakomił się na pieniądze, i któryby choć jeden raz więcej wziął pieniędzy z kasy społeczności aniżeli mu potrzeba na jadło, napój i jaką taką odzież.

Po raz to pierwszy w jej obecności wynurzał się ze swemi prawami i zamiarami, a i teraz działo się to w rodzaju uniewinnienia, nawet dobrotliwości i z nieświadomą siebie własną godnością. Powiedziawszy to, wziął swój kilof i torbę i zabierał się do wyjścia.

— Więc nic, zupełnie nic tu nie zostawiasz? zapytała.

Spojrzał jej otwarcie i stanowczo w oczy i odpowiedział po prostu:

— Nic.

O, gdyby mogła mówić! O gdyby tylko odważyła się powiedzieć mu, że przecież coś pozostawia, czego zabrać z sobą nie jest w stanie; co przez wrodzony mu męzki instynkt zniewolony byłby traktować z czułością i uwzględnieniem; coś co przemówiłoby do niego faktyczną swą niedołężnością i kiełkującą młodością. Ale nie śmiała.

Owej wymowy, która przed godziną tak jej dobrze posłużyła, ażeby nadać inny kierunek uczuciom i myślom człowieka, którego haniebnie oszukała — teraz zabrakło jej. Całkiem opanowane tą swą pierwszą i tak pozbawioną wszelkiej nadziei namiętnością teraz ta arcy-obłudnica utraciła nawet takt i prostotę swej płci. Nie okazywała nawet obojętności! Nie powiedziała nic, zupełnie nic; a gdy znowu podniosła oczy, on już odszedł.

Ale omyliła się. We drzwiach zatrzymał się przez chwilę, a potem powrócił powoli i jakby mimowolnie do pokoju. Serce zabiło jej strasznie— a potem stanęło.

— Pytałaś mię pani tylko co, — rzekł głosem niepewnym, — czy pozostawiam tu co? o tem, jeżeli pani pozwoli, jest cokolwiek do powiedzenia. Gdy pani i ja zamierzyliśmy jechać do obcych krajów, myślałem pozostawić tu naszą gospodynię i dałem jej pieniądze i polecenie, nie powiedziawszy nic o tem pani. Poleciłem jej, że w razie gdyby przybyło to drogie dziecię, siostra Gracja, to żeby dziewczynka została tu przyjętą i żeby tak była traktowaną jakbym ja sam ją traktował, i żeby mnie o tem uwiadomiła. Być może, iż jestto za wielkie wymaganie; ale jeżeli to... nie jest... za wielkie wymaganie... to nie chciałbym... tojest byłoby mi... niemiło... gdyby biedne... niewinne... dziecię... zostało wypędzone z domu... który może poczytywała za mój. Pani nie potrzebujesz mówić jej o tem co zaszło. Nie potrzebujesz pani mówić jakim głupcem byłem. Ale zajmij się pani dziewczyną i odeszlij ją do mnie. Adwokat Maxwell da pani mój adres.

To ukłucie wyrwało ją z osłupienia. Podniosła się i z ostrym przerażającym uśmiechem odrzekła:

— Życzenie pana będzie spełnione, jeżeli... zawahała się na chwilę, w tem dodała: jeżeli ja jeszcze tu będę.

Ale on już nie słyszał ostatnich wyrazów; wyszedł. (C. d. n)

Na przesilenie wiosenne.

Po niebie gna tumany chmur
Szalony wichr marcowy,
Rozdziera strój, na szczytach gór,
Twój zimo, strój lodowy.

W tych kłębach chmur, co błyskawicą
Czerwone, gromem biją,
Zawitaj nam Dziewico,
Zawitaj nam Maryjo!

Strwożonym mów, że w gromie burz
Twe państwo już się rodzi,
Że w grozie tej jest pączek róż!
Lecz Matko, świeć tej łodzi,
Bo z mórz się szałem grzmiącym łamie;
O Gwiazdo mórz ty święta!
Wierzącej daj twe ramię
Niech płynie łódź nietknięta!

W dolinach kwiat zbudzonych drzew
Na wpół wygląda z pąków
I ponad niw zielony siew
Wzlatuje rój skowronków;
O Marjo, ty Miłości zdroju!
Rolnika spełń nadzieje,
Niech twoje nań w pokoju
Błogosławieństwo wieje!

I ptaszkom daj na gniazdo cień
W rozkwitłem państwie lasu;
I ludziom daj miłości dzień
I rozkosz daj wywczasu.
Gdy przyjdzie maj, Krynico łaski!
Cór ziemi przyjmij wieńce:
Ty w cnót je ubierz blaski,
Ty daj im oblubieńce.

Dla wielu, wiesz, że wicher ten
Jest innej wiosny zwiastun,
Że kości ich na wieczny sen
Grób zimny weźmie piastun;
Pocieszycielko konających
Maryjo Matko święta,
Z dusz w ciebie ufających
Zdejm ciała ziemskie pęta.

I ucho daj modlitwom łez
Na mogił smutnem polu,
W twą pieczę weź mirt, lilję, bez
Posadzon ręką bolu:
Siej Marjo, Matko ty Boleści,
Na groby zapomniane
Lub skryte gdzieś bez wieści —
Podarki twe wiośniane.

U stóp Rodopy w marcu 1867.

Karol Brzozowski.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

Druga serja.

(*Ciąg dalszy.*)

Odkomenderowani do pogonki ludzie znikli w lesie, z łodzi nadszedł zasiłek i broń Shabundera, jednocześnie trąbka dała sygnał i rozległo się zażarte szczekanie psów. Z palcem na cynglu wyczekujemy uroczystej chwili... Ujadanie psów wzmaga się, na brzeg lasu wybiegają małe drapieżce i pogardzone przez nas mkną bokiem zarośli. Głos obławników, którzy ścieśniają zatoczone koło, coraz wyraźniej daje się słyszeć, wtem ryk przeszywający jak grom wydarł się z lasu; bez wątpienia był to głos tygrysa. Pod wpływem pewnego uczucia wrażliwości czekamy ukazania się groźnego przeciwnika, gdy drugi ryk mniej donośny odezwał się w znacznej odległości; szkoda, snać zwierz przemknął się przez linję pogonki i uszedł. Jakby dla pocieszenia nas tuż z krzaków wychyla się gavial ze swemi potomkami, w ślad za nim zdąża krokodyl klasyczny i całe grono sunie wprost przed siebie, zapominając

w przestrachu o rodowej swojej nieprzyjaźni. Niemyślimy wcale mącić ich spokojnego pochodu, bo i na cóż by się zdało, idą na swoją zgubę, a kule nasze czyż byłyby na pewne przebiły twarde opancerzenie? We dwie minuty zatrzeszczała deska, środkowa jama rozwarła się gościnnie przed przybyszami i pochłonęła całe towarzystwo. Na to w urywanych skokach wypadają dwa spore rysie, okryte brunatną sierścią z rzadka białym włosem zasrebrzoną, uszy krzaczaste, kształt zwinny choć trochę ciężki na pozór. Spostrzegłszy nas skręcają na miejscu i uderzają w prawą stronę. Pięć strzałów pada ze stanowiska Shabundera, jedna sztuka pozostaje na miejscu. Widząc jak drugi uchodzi, posyłamy z naszej strony kulki w pogoń i dwadzieścia kroków dalej kładziemy nowego trupa. Zaledwie ukończyliśmy z niemi roz prawę, znów z gąszczu wyłania się gawial, tym razem w pojedynkę. Widok nasz dodaje mu lotności, co tchu zdąża ku środkowej jamie, lecz ztamtąd dochodzą go głosy i powodują zboczenie. Nie był jednak szczęśliwszy w wyborze drogi, ziemia usunęła się pod nim i w mgnieniu oka został złapany.

Nastąpiła chwila oczekiwania, a kiedy się żaden zwierz nie wychylił, trąbka zabrzmiała powtórnie, ujadanie psów ozwało się z energją dochodzącą do wściekłości, race różnokolorowe i petardy wzbiły się kreśląc długie smugi i pomimo oddalenia doleciał nas złowrogi trzask, i w kilku miejscach szarzejące obłoczki dymu oznajmiły pożar w kniei. W ogóle zwierzęta gruboskórne nie lubią wszelkiego rodzaju sztucznych ogni, to też zaraz prawie z krzaków wypadły ogromne dwa nosorożce biegnąc wprost na nas. Zanim jednak dopadły na strzał, spostrzegły strzelców i kreśląc złamaną linję uchodzą w bok cwałem. Dajemy ognia... nie wiem czy wskutek naszej niezgrabności, czy kule nie miały dość siły przebić twardą skórę, dość na tem, że nim raz drugi wypaliliśmy broń, nosorożce znacznie się oddaliły i znikły w krótce z widoku.

Obłoki dymu zamieniły się w płomienne języki, już tylko co nie widać wychodzącej pogonki i psów, w tem z lasu wybiega pyszny słoń czarny, trąba wzniesiona w górę, kłami zdawał się niebu grozić, i w tej imponującej postawie przebiega w całym pędzie przestrzeń oddzielającą strzelców od kniei. Z obu stron otwory luf skierowały się w niego, naraz świst ostry przeszywa powietrze, słoń zwraca się i w tej chwili dziesięć strzałów powala go o ziemię. Ostrzeżenie przyszło za późno — powalonym słoniem był Czarno-duży... Jego bieg szybki, raptowne ukazanie się przeszkodziło Shabunderowi rozpoznać od razu swego domownika, dla tego złożył się do niego. Tylko między strzelcami znajdował się dozorca słonia i on go poznał, gestem i głosem wstrzymał wystrzały naszego vis-a-vis. Do nas słowa niedoleciały, gestów niedostrzegliśmy, i kiedy słoń stawał na głos swego dozorcy wpakowaliśmy mu dziesięć naboi w same piersi. Przybiegamy do nieszczęśliwego, okalamy go. Shabunder czy był zadowolony z przypadkowego trafu, czy nie kontent z wydarzenia, może jedno i drugie... za to żona jego będzie zmartwiona, tylko że on w tej sprawie mógł umyć sobie ręce — nie przyczynił się do ukarania jej ulubionego wierzchowca. Dozorca objął głowę rannego, potarł trąbę i uszy i odezwał się z najsłodszemi wyrazami pociechy. Na głos jego ukarany biedak otworzył oczy dziękując wymownem wzrokiem za udzielone mu pieszczoty. Przyniesiono z łodzi trochę kłaków, wody w drewnianym naczyniu, i po obmyciu ran, dozorca skropił kłaki wódką z mojej flaszki i przyłożył do ran. Strzelając do słonia, mierzyliśmy jedni w głowę, drudzy poniżej łopatki, nagły ruch jednak, który tenże zrobił na głos swego dozorcy i raptowne podniesienie głowy sprawiło, iż wszystkie kule wpakowały się w piersi. U zdrowych słoni ta część ciała jest zwykle okryta grubą warstwą tłuszczu i to mogło go uratować; wyjęcie kul nieprzedstawiało wielkich trudności. Po opatrzeniu ran biedny pacjent wydobywał wszystkich sił, by się postawić na nogi. W tej pokornej postawie widząc przed sobą tylu uzbrojonych ludzi, rzucał wyraziste spojrzenia, to na swego dozorcę, to na Shabundera, jakby mówił „Przebaczcie mi, jestem dostatecznie ukarany, już niedopuszczę się przekroczenia". Kiedy wreszcie po wielkich wysiłkach stanął na nogi, odprowadzono go wolno ku łodziom.

Rysie podjęto, był to samiec i samica i skierowaliśmy się ku rowom. Środkowa jama mieściła poważną kompanję: Gavial samica miała pewnie ze dwadzieścia metrów długości, oba małe nie były większe jak półtora metra, a krokodyl ten już nie dychał. We wściekłym gniewie gavial na nim wywarł całą złość swoją i rozdarł go na części. Z tamtąd udaliśmy się do bocznej jamy; za zbliżeniem doleciał nas świst gardłowy, miotania i podrygi drugiego gaviala. Olbrzymi potwór zębami i pazurami przednich nóg, wyrywał kawały ziemi, tratował ją i zażarcie pracował nad wydostaniem się z łapki; kilka godzin takich usiłowań, a byłby może i dokonał dzieła.

Spieszno nam było i by nie tracić czasu zadecydowano spalić gaviale w ich jamach. Józef z wielkiem oburzeniem oparł się temu. Tak uwędzone młode, nabrałyby nieprzyjemnej woni, a on myślał użyć ich na frykase, którym zamierzał uraczyć nas w dzień pożegnalnego objadu. Nie było rady, musiano dozwolić mu wyciągnąć jaszczury. Złapał długą żerdź okutą, i od jednego razu przebił młodego krokodyla, tylko o mało że drogo nie przepłacił swojego tryumfu; hak uczepił się ciała i gawial w potężnych rzutach ledwie nie wciągnął do dołu zapamiętałego murzyna. Koniec końców wydostali małe potworki, a po wyjęciu z jamy zakończyli z niemi walkę roztrzaskaniem głowy.

Józef przysądził sobie oba młode jaszczury; wiemy jak obiecywał je sobie przyprawić. Jedną skórę z rysia przeznaczono dla żony Shabundera, drugą ofiarowano mnie. W mojem położeniu tak niepewnem jutra, czyż mogłem obciążać się takiemi przedmiotami? odmówiłem daru, zrzekając się na rzecz asesora. Z dwóch wielkich gaviali i obu rysi sprawić miano bankiet naszym strzelcom i pogoni; aby nikt krzywdy nie miał, psy dostały wnętrzności.

Siedliśmy do łodzi; liczba wioślarzy była prawie zdwojona, sunęliśmy szybko i w krótkim czasie zostawiwszy za sobą cztery czy pięć mil, znaleźliśmy się na wprost kanału Kyndan-Yaygau. W chwili wpłynięcia nań, Shabunder zapytał, czy nie życzymy sobie wysiąść na ląd, w tem miejscu bowiem jest parę błotnistych kałuż, w których nasze chybione nosorożce mogły się schronić. Przystaliśmy na projekt i łodzie dobiły do przystani.

Wszedłszy na brzeg dość wysoki, zmierzyłem okiem przestrzeń ciągnącą się przed nami. Tu i owdzie niskie łany uprawne były ryżem i soczewicą, także ukazywały się pola pokryte sesamą i parę wyżyn suchej roli. Między tem bukiety drzew i zarośli, kilka płat stojącej wody, a w dali tło kończących się niskim porostem lasów.

Za nim rozeszliśmy się każdy w swoją stronę umówiliśmy się, że nasza wycieczka nieprzeciągnie się dłużej, nad pół godziny, najdalej trzy kwadranse, i obrawszy sobie wedle upodobania kierunek, mieliśmy zważać by się nie bardzo oddalać jedni od drugich, aby zawsze być w możności udzielenia sobie pomocy w razie nieprzewidzianego wypadku.

Shabunder wiedział gdzie idzie, asesor i ja nie znaliśmy zupełnie gruntu po jakim stąpać nam wypadało. Wysłuchawszy zatem wskazówek nam udzielonych, rozeszliśmy się jeden w prawo drugi w lewo. Wzrok miałem doskonały, i oprócz, że sam dokładnie mogłem zdala przejrzeć okiem krzaki, obrosłe krzewem brzegi i gęsto splecione wodne rośliny, w których najczęściej niebezpieczne kryją się zwierzęta, u mego boku miałem w dodatku dwie pary ócz argusowych; Józef i Lugle widzieli za czworo.

— Panie panie! dwa nosorożce — odezwał się po krótkim czasie Lugle.

— Co takiego! — spytałem stając, gdyż nie dobrze dosłyszałem dość cicho wymówionych słów. Bez odpowiedzi wskazał ręką punkt i idąc za kierunkiem jego palca, dostrzegłem w rzeczy samej o stopięćdziesiąt może kroków, wśród sitowia dwa szare kloce oddające się rozkoszom kąpieli w cuchnącej wodzie. Podbiegłem jakie dwadzieścia kroków i z tego oddalenia, zalecając moim chłopcom aby nie strzelali aż po mnie, i wtenczas dopiero kiedy zwierz się całkiem ukaże, zmierzam i daję ognia z obu luf.

— A do krocset fur miljonów beczek!... była właśnie pora wykrzyknąć. Moje nosorożce ryknąwszy, bez namysłu ruszają w cwał; Józef i Lugle dają ognia. Ej! gdzie tam — zmykają coraz lepiej.

Nasze strzały zwróciły jednak uwagę drugich myśliwych, nosorożce rzuciwszy się w lewo aby dorwać się do kniei, zaskoczone zostały przez asesora z jednej i Shabundera z drugiej strony. W takiem położeniu nie wiele myśląc zwracają się napowrót, tylko zamiast wprost na nas uderzyć, mkną w prawo o jakie sto kroków przed naszemi nosami. Broń nabita, dajemy ognia. Nowe fiasko... nosorożce jak biegły tak biegną. O małom mojego sztucera nie połamał na drobne kawałki. Ależ bo też to skóra!

Opodal były wysokie drzewa, kazałem moim chłopcom wdrapać się na nie i przejrzeć okolicę.

— Oj panie tam rzeka — krzyczy jeden. Drugi wtorując mu:

— Booghny, nosorożce pływają.

(Dok. nast.)

O potrzebie rozwoju przemysłu małego

czyli drobnego w Galicji

napisał

Jan Nep. z Oleksowa Gniewosz.

(Dokończenie).

Mówiłem już w innym rozdziale, że garbarstwo i białoskórnictwo nasze znajduje się jeszcze w porównaniu z innemi krajami w kolebce. Jednakowoż jest zupełnie wystarczające, aby w pewnym kierunku dostarczyło materjału.

Mamy po dziś dzień ślady, że jeszcze po pierwszym rozbiorze kraju, szczególniej białoskórnictwo we wschodniej części Galicji, stało

na stopie nietylko zupełnego wykończenia, ale pytanie, czy nawet nie przodowało innym krajom. Pan Antoni Szneider, posiada w swoich zbiorach z tych czasów kilkanaście okazów białej irchy, na której w najpiękniejszych kolorach, drukowane są rozmaite wzory, naśladujące tkaniny dawnych perkalików w prążki. Otóż takiej irchy i innych prasowanych skór wzorzystych, zdobnych kolorami i złotem, używano do rozmaitych obić mebli, na czapraki, oraz do ówczesnych wyrobów galanteryjnych. Wzory o których mówię, świadczą odrębnym doborem kolorów, że szły głównie na Wschód, czego przed kilku laty znalazłem dowody na Pokuciu w urywkach notat, pochodzących od tamecznych rodzin ormiańskich.

Śmiem twierdzić, że pomysł ten dzisiaj wznowiony, mógłby nawet uzyskać przywilej wyłączności na lat kilka, i niezawodnie uzyskałby na targach zagranicznych niepośrednie wzięcie. Ale po co nam zresztą szukać targów zagranicznych, gdy u nas możnaby cały legjon kobiet zatrudnić, któreby znaczną ilość tego materjału zużytkować mogły, jako to: na pudełka, kasetki, teki, futerały itd. W tej gałęzi przemysłu, mamy najzupełniej wydoskonalonych rodaków za granicą, którzyby ster pracy chętnie objęli. Główne źródło zbytu przedstawiałby Wschód; szczególniej Konstantynopol i Port-Said. Szłoby jedynie o to, aby zebrać wzory tamtejszych potrzeb, co znowu przy dzisiejszych stosunkach, bynajmniej nie jest trudne.

Przy rozwinięciu się chociaż kilku podobnych gałęzi przemysłu, przybyłaby jeszcze jedna wtenczas, jako wynik nieodzownej potrzeby, to jest wyrób pudełek kartonowych wszelkich rozmiarów, bez których wyroby przeznaczone dla handlu częściowego nie mogą się obejść; bo najczęściej służą do podniesienia efektu, jak rama obrazowi.

Przedewszystkiem wyrób kuferków podróżnych, których stosy widzimy nagromadzone po naszych handlach. Wszystkie składowe części mamy u siebie; maszyn nie potrzeba; zimą tysiące rąk bezczynnych, a z nudów i braku zatrudnienia setki wchodzą na bezdroża.

Na tem miejscu rzucam jeszcze raz w oczy zarzut, tym panom siodlarzom i rymarzom, którzy dorobiwszy się u nas i z nas znacznych fortun, mieli święty obowiązek, gdy im i na środkach nie zbywa, aby co tylko w zakres ich rzemiosł wchodzi, rozwinąć w kraju na szerszą stopę.

Zamiast tego, gdy się już skrzynia zyskiem zapełniła, woleli spocząć na laurach, uszczęśliwiając nas bogatemi sklepami, zapełnionemi tandetą zagraniczną.

Oprócz wyrobu kufrów, winienem zaznaczyć znaczne transporta przyborów myśliwskich, jako to: toreb, ładownic itp.

Wobec dzisiejszego rozwoju szkół i systemu nauki, którego punkt ciężkości przechyla się ku przyrodzie, okazuje się potrzeba rycin kolorowanych, które uzmysławiają pojęcie naukowe teorji.

Otóż ryciny zacząwszy od najlichszych, sprowadzone belami czarne i kolorowane, same wskazują, że kraj może i pod tym względem, winien się odrębnie zamanifestować. Ileż tysięcy rocznie przychodzi z Monachjum, Lipska, Paryża i Szląska pruskiego, obrazków świętych?

Przy zmianie systemu naukowego okazuje się już teraz potrzeba wydawnictwa map i podręczników, mianowicie przyrodniczych. Jednak te wszystkie pomysły napotykają u nas na trudności techniczne wydawnictwa, bo nie jesteśmy obeznani z kolorowaniem. Kolorowanie stanowi jednak w każdym ucywilizowanym kraju dla licznych rąk pożądaną pracę i zarobek. W kolorowaniu dochodzi się do takiej wprawy, że osoba zajęta tą pracą, biorąc np. 15 ct. od setki obrazków, zarabia jeszcze około 1 złr. dziennie.

Głównie brak upowszechnionej znajomości kolorowania jest przyczyną, że nawet nasze polskie wydawnictwa dla dzieci z obrazkami, są tak niesłychanie nieprzystępne w cenach.

W następstwie przychodzi drzeworytnictwo. Warszawa pierwsza odczuła potrzebę, tworząc formalną szkołę rytowniczą. Obecnie i w Krakowie za głównem staraniem dobrze zasłużonego krajowi p. Baranieckiego, kształcą się uczennice, ale jeżeli uwzględnimy, że zawód ten jest artyzmem, i zaledwie pewien procent uczących się, dochodzi do stopnia doskonałości, że rytownictwo na drzewie dzieli się tak jak rysownictwo i malarstwo na pewne grupy specjalne, to liczba dotychczasowa rytowników jest niewystarczająca. Ten rytownik, którego specjalnością są np. kraj-obrazy lub architektura, rzadko kiedy włada również dobrze rylcem przy portretach, lub w ogóle tam, gdzie wchodzą figury. Ornamentyka ma tak samo swoich specjalistów.

Że ta część sztuki artystycznej może mieć u nas powodzenie, dowiodła Warszawa, której drzeworyty często z pierwszemi w Europie wytrzymują współzawodnictwo.

Przed zakończeniem tego ostatniego oddziału o pracy przemysłu domowego w miastach, który chcąc zupełnie wyczerpać, możnaby jeszcze osobny tom napisać, ograniczam się na odezwie do pp. właścicieli aptek w całym kraju, jako jedynego ciała naukowo-handlowo przemysłowego, które jedynie pośród wszystkich burz i niepowodzeń, stoi zawsze samoistnie.

Potrzeba na to złożenia się szczególnych wypadków, aby do nich zawitało niepowodzenie. W normalnym stanie kraju, apteki żyją, a podczas klęsk robią majątki.

Jeżeli się więc znajdują w najkorzystniejszych warunkach od reszty śmiertelników, i stanowią korporację, jak sieć rozpiętą po całym kraju; dla czego dotąd nie uznali za potrzebne, gdy kraj ten posiada wiele czynników w przyrodzie, w zakres ich potrzeb wchodzących, aby takowe zużytkować?

Wątpię, aby się chcieli wymawiać nieświadomością; o to ich nikt nie posądzi. Brak im jednak najważniejszego czynnika, a tym jest spójnia, bez której żadna praca wydatniejsza niemoże osiągnąć skutku.

Chociaż pp. aptekarze, mianowicie po mniejszych miastach prowincjonalnych zaopatrują niektóre potrzeby w okolicy, to jednak mogąc stanowczo przerwać import zagraniczny, tego nie uczynili.

Nikt im zapewne ich bytu nie zazdrości, ale niechże się i oni poczują do obowiązku obywatelskiego, aby stworzyć jeszcze jedną odnogę przemysłu. Sumy, jakie co rok wysyłają do składów zagranicznych za rumianek, miętę, arnikę, mech islandzki, centurję, i cały legjon środków leczniczych z dziedziny flory, mógłby setkom stanów obojga płci a nawet dzieciom tak w górach jak na równinach dać właściwe zatrudnienie.

Do tego potrzeba, aby w najwłaściwszych miejscowościach kraju, pozakładane były na czas letni stacje, w którychby pod przewodnictwem uzdolnionych przewodników koncentrowano i podług wymogów form aptecznych, przyrządzano w znacznych ilościach zioła lecznicze naszego kraju.

Zasięgałem w tym względzie zdania światłych farmaceutów, którzy mię raczyli objaśnić, że ta ważna sprawa, już nie raz była poruszaną, ale bez skutku, dla braku solidarności. A ja ośmielę się dodać: „i braku poczucia prawdziwej miłości kraju“

Kompetentni twierdzą, że wiele środków leczniczych, nietylkoby wystarczyły dla aptek krajowych, ale mogłyby znaleźć zbyt na zewnątrz.

Myśl tę poruszał już dawniej w gronie farmaceutów, rzutki p. J. Ihnatowicz, który z uznania godną odwagą rywalizuje w dziale kosmetyków z zagranicą.

Jeżeli głos jego raz przebrzmiał bez echa, niech puka powtórnie aż do skutku, a może obudzi z leniwego snu innych towarzyszy.

Na tem kończę przegląd naszego przemysłu domowego. Wiem i czuję, że praca moja jest jedynie niedokładnym zarysem; może jednak zarys ten pobudzi inne — zdolniejsze pióro, które lepiej zadaniu odpowie. Dla mnie byłoby najwyższą nagrodą, gdyby chociaż jedna gałązka wskazana wyrosła w bujne drzewo.

Koniec.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

VI.

(O.) W zeszły piątek odbył się w redakcji naszego pisma wieczorek pożegnalny dla Karola Brzozowskiego, którego śliczny wiersz p. t. „Przesilenie wiosenne“ dajemy w dzisiejszym numerze. Zebranie to raczył zaszczycić między innemi sędziwy nasz socjolog Józef Supiński, rzadko się udzielający z przyczyny nadwątlonego zdrowia. Podróżnik nasz posiadający obok talentu poetyckiego świetny dar opowiadania ożywiał całe towarzystwo wspomnieniami swych przygód azjatyckich a odczytaniem kilku wierszy swego utworu wywołał prawdziwy zapał nawet u niezbyt gorących zwolenników poezji. Czytelnicy „Tygodnia“ będą mieli sposobność sprawdzić że zapał ten był usprawiedliwionym. Wzruszony dowodami uznania Brzozowski zaimprowizował pożegnanie w formie wiersza, który poniżej podajemy:

— „Widzę, z twych ramion wyrastają pióra!
Może ty kiedy i wzlecisz orlęciem...
Niechże nie nęci cię ta w górze chmura
Pomnij — że jesteś ziemi pacholęciem.
Roztaczaj skrzydła zuchwale, szeroko —
I w niebo zachodź — lecz po grom lub rosę
Ale od pokus broń duszę i oko —
Bo te kochanki, gwiazdy złotowłose
Straszne rusałki! Wiedz: miłość bez celu
Smiercią ci będzie, jak była dla wielu.
Wiedz ty, że miłość wielka budownica
Boga jedyna dźwignia i narzędzie.
Nie z blasków zimnych srebrnego księżyca
Lecz z ogniów słońca siły swoje przędzie
Pan i ta ziemia! Choćby na męczeństwo
Idź a idź — z tobą me błogosławieństwo!
Orzeł i mrówka — ty pracownik cichy
Bezpiecznie miniesz straszny szkopuł pychy!..“
— Taki testament ojciec srebrnowłosy
Dał mi chłopięciu — i tem ja pancerny
Idę i idę, w drodze zbieram kłosy,
Bogu i Polsce do ostatka wierny.

Dziś bliski kresu, z rozjaśnionem czołem
Testament ojca ja wam czytam z wiarą
Że nim dojdziecie, kędy ja stanąłem
Jak mojej duszy i wam da pogodę —
Wszak serce wasze sercem przygarnąłem
Bóg z wami! Idźcie drogą ojców starą!

Jedna z pań przysłała odjeżdżającemu bukiet kwiatów, do czego robiąc aluzję Władysław Bełza wypowiedział kilka strofek z których jednę przytaczamy:

Krótko bawiłeś pomiędzy nami
Świetnem nam będąc zjawiskiem
Polki żegnają Ciebie kwiatami,
My, mężkiej dłoni uściskiem.

Podobne wieczorki pożegnalne odbyły się nadto w kilku domach prywatnych, w redakcji Kroniki Codziennej i w Stowarzyszeniu „Gwiazda“ które ofiarowało podróżnikowi na pamiątkę: wieniec laurowy. We czwartek Brzozowski opuścił nasze miasto udając się z powrotem do Syryi, gdzie go z upragnieniem oczekuje rodzina.

* * *

(J.) Poniedziałkowy odczyt p. Hausnera, drugi z rzędu w szeregu odczytów o sztuce, ściągnął do sali ratuszowej liczną publiczność. Pan Kausner postawił sobie za cel przedstawienie całego rozwoju, tej sztuki władającej tak małemi środkami, a mającej mimo to na celu wypowiedzenia tego wszystkiego prawie, co inne sztuki środkami licznymi i potężnymi wypowiadają. Historja rzeźby jest tak obfitą w wypadki godne uwagi, tyle znakomitych mistrzów w ciągu wieków wyryło swe myśli w kamieniu, że odczyt obejmujący całą historję, musiał być zapełniony cytowaniem nazwisk i dziwiliśmy prelegentowi który z pamięci całe setki nazwisk wyliczał.

Ponieważ, o ile wiemy, odczyty o sztuce będę drukowane w jednem z pism tutejszych, przeto wstrzymujemy się z podawaniem treści szczegółowej. Miło nam jednak zaznaczyć w tem miejscu zapatrywanie prelegenta na rozwój sztuk u nas, i na ich związek z doniosłymi faktami historycznemi. Otóż sz. prelegent mówił że po każdym wielkim politycznym upadku, ojczyzna nasza dawała znaki życia i protestowała przeciw twierdzeniu, że zginęła, wydaniem dzielnych mężów i potężnym rozwojem którejkolwiek ze sztuk pięknych. Po rozbiorach, nastąpili wielcy wodzowie po nieszczęśliwie zakończonych wojnach napoleońskich i po roku 31ym mistrze słowa: owe wielkie trzy gwiazdy na naszem niebie poetyckiem i mistrze tonów: Szopen i Moniuszko. Po ostatnim strasznym wysiłku i strasznym upadku malarze nasi przysporzyli ojczyźnie nowej sławy. Jest nadzieja, że przyjdzie teraz kolej na rzeźbę, i że z nowego pokolenia wyjdą pierwszorzędni mistrze dłuta.

Będziemy mieli zapewne sposobność, mówiąc o trzech odczytach razem, po ich wyjściu, rozebrać obszerniej zapatrywania szanownych preligentów.

* * *

(B.) W naszych codziennych pismach rozpoczęła się gwałtowna polemika między dwoma obozami muzycznymi. Piszą się odezwy, sprostowania, interpelacje, odpowiedzi i t. p. Całe szpalty są niemi zajęte a nieszczęśliwa publiczność słuchać musi żalów i zawiści przelewanych na papier; docinki i epitety sypią się jak z rękawa, poczynając od najdelikatniejszych a kończąc na pociskach wielkiego kalibru, do jakich z pewnością należy słowo „małpa!“

Panowie muzykanci, co to nas obchodzić może?

Kłóćcie się wiele wam się tylko podoba, wymyślajcie na siebie, jesteście irritabile genus wiemy wiemy o tem dobrze, ale *nie nudźcie nas* swemi artykułami w dziennikach, a zresztą radzimy wam szczerze, nie narażajcie sami siebie na śmieszność!

Darują nam lwowscy synowie Apolina, a dyrektorowie współzawodniczących towarzystw muzycznych, że ich w tym wypadku nie artystami nazywamy, lecz muzykantami. Kiedy z pod ich palców dobywają się tony, które nam każą na chwilę zapomnieć o codziennego życia powszednościach i w świat ideałów nas przenoszą — kiedy któregokolwiek z tych panów widzimy, jak na czele orkiestry i chóru jednem skinieniem setki tonów w harmonijną zlewał całość, wtedy są oni dla nas artystami w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu, i nie szczędzimy im jedynej nagrody na jaką nas stać: serdecznego uznania i żywych oklasków. Ale gdy ciż sami artyści staczają między sobą boje na słowa wcale nie estetyczne i nie piękne, kiedy rywalizacja ich ze sfery sztuki przenosi się w świat słów obelżywych, i jeden o drugim pisać każe, że on by tak samo „małpę grać wyuczył,“ a to wybaczą nam ci panowie, że w tym wypadku nie są dla nas artystami, nie są kapłanami sztuki, ale muzykantami, ale rzemieślnikami walczącymi o większy odbyt towarów... Chętnie odwołamy te przykre słowa, jeżeli panowie ci, nie pochwalając tego co pod ich firmą pisano, wyraźnie się tego wyprą...

Nie tylko jednak kapłani sztuki tak szlachetne staczają walki — są inni jeszcze kapłani, którzyby się bez porównania więcej szanować powinni, a zapomnieli zgoła o swej kapłańskiej godności. Ksiądz redaktor „Piasta“ z księdzem redaktorem „Wiadomości kościelnych“ rozpoczęli polemikę, przypominającą najlepsze czasy słynnych niegdyś a już od trzech lat szczęśliwie zażegnanych walk osobistych między redaktorami „Gazety“ i „Dziennika.“ Ty książę taki! a ty książę owaki! słychać z obojej strony. Ks. redaktor „Wiadomości“ zarzuca ks. redaktorowi „Piasta“, że „liże p. Dobrzańskiego“ (dosłownie), a w dodatku do „Piasta“ ks. redaktor jego obiecuje, że poda ciekawe szczegóły „o innem lizaniu.“ Nie ciekawiśmy tych ciekawości. Autorowi „Listów o Galicji“ polecamy tę polemikę jako wzór wytworności smaku uwielbianych przez niego konserwatywnych i ultramontańskich pisarzy. Dla wiadomości zaś naszych czytelników dodamy, że spór cały poszedł o to, czy ks. redaktor „Piasta“ ma prawo wzywać osobno do pielgrzymki rzymskiej ku uczczeniu papieskiego jubileusza, czy też wyłączne i monopoliczne prawo ma komitet, do którego należy ksiądz redaktor „Wiadomości.“ „A o szaty jego rzucać będą kości.“ mimowoli tu na myśl przychodzi. Kto wie czy nie najsnadniej byłoby spór ten rozstrzygnąć zasadą: z dwojga złego wolę nic. Zamiast bardzo kosztownej wędrówki do Rzymu, zamiast świętopietrza, na którem papieżowi nie zbywa, możnaby groszem tym zasilić fundusz szkół ludowych z r. 1872 — lub potworzyć stypendja dla uczniów seminarjów nauczycielskich, którzy walczą z nędzą. Byłoby to z większą chwałą Bożą i z większym ojczyzny pożytkiem. Zalecamy księżom redaktorom usilnie ten sposób pojednania się. Pax vobiscum! a zamiast owieczkom waszym tak jawne dawać zgorszenie, uczyńcie coś dla oświaty.

* * *

(T.) Nowością teatralną ubiegłego tygodnia była sztuka Dumasa i Newskiego p. t. „Daniszewy“. Sztukę tę poprzedziła niezbyt pochlebna fama, jakoby Dumas w myśl dzisiejszej polityki francuskiej, chciał w Daniszewach schlebiać społeczeństwu i rządowi rossyjskiemu. Tymczasem w sztuce nie znaleźliśmy nic takiego, coby można było nazwać pochlebstwem. I owszem wyższe warstwy moskiewskie przedstawione są w świetle bardzo prawdziwem, jeżeli zaś obok tego wyprowadza autor kilka postaci dodatnich, to nie należy się temu dziwić, ani tem gorszyć, bo przecież i Mickiewicz w Panu Tadeuszu obok majora Płuta stawia uczciwego kapitana Rykowa.

„Daniszewy“ odznaczają się taką znajomością spółeczeństwa rossyjskiego, że trzeba koniecznie przypuścić, iż udział Dumasa w napisaniu sztuki ogranicza się tylko do strony czysto technicznej. Technika też wyborna i do najdrobniejszych szczegółów wykończona. Zajęcie w widzach obudza się odrazu i nadzwyczaj umiejętnie jest potęgowanem do samego końca, a niektóre sceny odznaczają się wysokim nastrojem lirycznym.

Przegląd literacki.

(*Ksawery Liske. Cudzoziemcy w Polsce. Lwów. 1876. str. II 341.*)

(*Dokończenie*).

Jako wtajemniczony w misję swego pryncypała musiał z nim często ukrywać się lub uciekać przed pogonią — mimo to skrupulatność prawdziwie niemiecka nie dozwala mu opuścić w opisie żadnej wioski przez którą przejeżdża, pyta się szczegółowo o oddalenie jednej miejscowości od drugiej i skrzętnie zapisuje w pamiętniku. Republikanin czystej krwi, oburza się na obchodzenie się szlachty polskiej z chłopem; protestant, nieraz nie wierzy w zapewnienia ludzi o tem co mu się nie zdaje być prawdopodobnem; człowiek ogólnie wykształcony zapisuje tak wypadki dziejowe, jak urodzajność pól, przez które przejeżdżał, lub niedostateczność tej lub owej fortecy. Aby dać poznać sposób opowiadania jego przytoczymy tutaj kilka ustępów. I tak przy sposobności gdy chłop przyszedł do niego i wypalił *łacińską* orację wyrywa mu się uważa iż „w ogóle w Polsce łacinę znają powszechnie ale w przecięciu nie odznacza się ona czystością“ poczem przytacza przykład straszliwej łaciny. Opis Lwowa jest bardzo obszerny i wielce ciekawy. W Luchowie „karczmarz żyd wyprawiał w licznem towarzystwie wesele córki, przyczem stare ruskie baby orzeźwiały się za piecem kaflowym wódką. Nazywają ją na Rusi horilka, Polacy zaś gorzałką albo, jeżeli mówią po łacinie, crematum. Opis rządu, religji, sposobu życia Polaków zajmujący 5 kartek jest bardzo ciekawym; zajmuje on się tutaj formą rządu, ilością religii (rzymsko-katolicka, grecka, reformowana, luterska, ormiańska, menonicka i żydowska), których wyznawców tak opisuje: „Polacy... są gorliwymi papistami, jak chyba Hiszpanie lub Irlandczycy a w nabożeństwie swem więcej zabobonni niż pobożni.

Kiedy się modlą lub mszy słuchają chrapią wzdychając tak, że z daleka ich już słychać...“

„Polacy są silni — mówi dalej Werdum — dłudzy a opiekli i grubawi *a choć nigdzie pewnie nie wychowują dzieci więcej nieuważnie,* to jednak rzadko kogo znajdziesz w Polsce, któremuby z natury czegoś brakowało lub któryby był kulawy. Na zręczności rozumu także im nie zbywa, są atoli *lekkomyślni i zmienni* i różnym rozpustom zbytecznie oddani“. „W żadnem polskiem mieście nie znajdziesz *dobrego bruku na ulicach*“ co wcale na lepsze dziś się nie zmieniło.

„Zresztą — kończy Ulryk — jest Polska błogosławionym krajem, ma żyżną rolę, zdrowe powierze, ryby i rybne rzeki jako to Wisłę, San, Dunajec i inne. Jest prawdziwą spiżarnią zboża i ma także piękne bydło.“

Takich i tym podobnych miejsc znajdzie czytelnik w opowiadaniu Werduma bardzo wiele — nie przytaczamy ich tutaj bo na to miejsce nie pozwala dodamy tylko, że nawet legendy zna nasz podróżnik np. legendę o Szarym na pobojowisku pod Płowcami (str. 146—7), zapisuje do późna zachowywany u nas zazwyczaj zabijania tylu kołków w pal ile lat swobody nowo osiadłym, dziedzic użycza (158) odpisuje sobie ku pamięci pomnik Żółkiewskiego (179). Pamiętnik ten tem jest cenniejszy, że pisany nie w celach ogłoszenia go, drukiem nie jedno w sobie zawiera coby był Werdum przy wydaniu go z pewnością opuścił.

Następny wyciąg z pamiętnika Jana Bernouilli'ego wprowadza nas do Polski prawie w sto lat później tj. w r. 1778. Bernouilli, już w roku 13 życia swego drukował rozprawę o ospie, a w 14 został magistrem, w krótce potem licencjatem prawa. Powołany jako dziewiętnastoletni młodzieniec do akademji berlińskiej jako członek został w trzy lata później dyrektorem oddziału matematycznego tejże akademji. Mąż ten zażywający wielkiej już za życia sławy umarł w r. 1807; z licznych dzieł pozostawił także podróż sześciotomową po Brandenburgji, Pomorzu, Kurlandji, Rosji i Polsce w latach 1778—1777. Jako matematyk jest tak sprupulatny, że opisuje na minuty i sekundy swą podróż a pisząc w zamiarze drukowania rzadko kiedy źle się o kimś wyraża. Dobrze tedy postąpił autor, że wybrał z opisu jego najwięcej zajmujące miejsca.

Bernouilli jako naukowy człowiek najbardziej rozpisuje się o ludziach, którzy w świecie naukowym zajmują jakiekolwiek stanowisko, opisuje biblioteki i zbiory naukowe jakie w podróży widzieć mu się udało — nie małą część pamiętników swych poświęca opisom fabryk, warstatów i t. p. Z tego też powodu pamiętnik ten wiele nowego przynosi a rysów charakterystycznych jest bardzo wiele np. o niewygodach po gospodach (str. 206).

Następny ustęp wzięty jest z podróży J. E. Biestera (ur. 1749 † 1816). Opisuje on Polskę w r. 1791 a więc w czasie kiedy kraj cały święcił dzień trzeciego maja. Biester rozbiera w swym opisie całą nową konstytucję — kreśli Warszawę i życie w niej pod wpływem czerwonych szkieł sympatji do Polaków tak,że opis jego różni się nieco od faktycznego stanu rzeczy, jakim nam go Kraszewski w „Polsce w czasach 3 rozbiorów“ przedstawił. W końcu znajduje się opis według aktów sądowych, pewnej komicznej sprawy, który wyświeca jakich to głupców sprowadzono do Galicji po pierwszym rozbiorze, aby kraj „cywilizować“. Ustęp ten kwalifikuje się do humoreski.

J. J. Knausch, który także w r. 1791 zwiedzał Polskę, (ur. 1751 † 1825) a mianowicie Kraków zapisał też nie jeden ciekawy szczegół o tem mieście, dlatego też choć skromne dostało mu się tutaj miejsce.

Index·dodany do tego lasu miejscowości podnosi wartość tego wydawnictwa. O wieleżby podniosła się wartość np. Pamiętników z XVIII. wieku wychodzących w Pozwaniu gdyby były indeksy! *M.*

LISTY DO PRZYSZŁEJ NARZECZONEJ.

(Ciąg dalszy.)

LIST IV.

Droga Pani! *)

Jest coś sympatycznego w samym wyrazie: *harmonja* — coś z dźwięku arfy eolskiej, coś z majestatu sfer niebieskich, z tkliwości uczuć miłosnych i wiosennego śpiewu ptaków. Ledwiem napisał jego zgłoski, zbudził się w myśli mojej śliczny wierszyk Szyllera, w którym pocałunki Amalji przyrównywa do uścisku płomieni, do związku dwu dźwięków „w pełnej nieba harmonji.“ I gdyby nie ta jedna okoliczność, że wyraz ten przypomina mi także niemiecką resursę w Warszawie, noszącą nazwę „Harmonji,“ a która przecież zakłóciła raz harmonją między dwoma narodowościami — powiedziałbym, że jest on ideałem wyrazów. Ale też trzeba przyznać, że równie jest daleko od Szyllera i jego „pełnej nieba harmonji“ do niemieckiej resursy w Warszawie, jak od Bethovena do Offenbacha. Możemy więc bezpiecznie porzucić tę nienaturalną asocjację i z pogodnem sercem zabrać się do rozbioru najpiękniejszego z rodzajów harmonji, bo *harmonji duchowej.*

Dwie dusze łączą się na życie całe. Odtąd uczucia ich nie trawią się w sobie i nie rozpraszają się marnie w otoczeniu obcych, obojętnych ludzi, lecz skupiają się w jedno wspólne ognisko, w jedno współczucie, w jeden akord. Najrozmaitsze upodobania równoważą się, uzupełniają, doskonalą — szczęście odosobnione staje się wspólnem szczęściem; troska jednostek wspólną troską; a w tej wspólności, w tem zjednoczeniu, szczęście staje się słodszem, troska lżejszą. Pięknie powiedziała Deotyma że:

..gdy w sile, dwu chórów zrównają się głosy
Niebo usłyszy ziemię, a ziemia niebiosy!...

bo jeśli niebo można zbliżyć do ziemi, to nie znam lepszego na to sposobu, jak właśnie w ustaleniu tego związku dusz, ktory ideałom wyrabia prawo obywatelstwa na ziemi, a życiu nadaje urok poematu.

Lecz jak osiągnąć ten cudowny związek dwu dusz, dwu atomów, kryjących w sobie dwa światy: uczuć, upodobań, nałogów i przekonań? Jak zapewnić temu chemicznemu połączeniu trwałość w obec wpływów otoczenia?

Za dawnych, oczywiście lepszych czasów, wierzono w przeznaczenie. Kochanków porównywano do dwu gwiazdek na niebie, które świecąc z dala jedna od drugiej, świeciły jednak dla siebie, i prędzej czy później zejść się musiały w jednym uścisku, albo też, gdy taką była ich fatalna dola, zbliżały się w błędnej nadziei, by potem raz na zawsze przerwać swe drogi i pobiedz na przeciwne świata krańce.

Śmierć i żona
Od Boga przeznacona:

mówiono — a jeśli tego samego nie powiadano o mężu, to dlatego tylko, że w owych czasach żona *dostawała się* mężowi, jako nagroda lub kara, a mąż tylko brał, lub nawet zdobywał żonę.

Dzisiaj, chcemy wierzyć, że to co było *związkiem* tylko, jest stowarzyszeniem, stowarzyszeniem różnych, lecz moralnie równych sił do wspólnych celów. Dzisiaj więc, wobec wolności wyboru, wobec równych praw, musimy też szukać innych warunków harmonji. Patrjarchalne poręczenie posłuszeństwa żony względem męża, nie wystarcza. Nie przypuszczam, ażebyś mnie Pani posądziła o lekceważenie prastarych cnót i obowiązków; jeżeli bowiem chcę szukać innych warunków harmonji, to właśnie dla tego, że dawne okazały się niedostatecznemi do zachowania tych cnót prastarych; a jeśli zbaczam w czemkolwiek od tradycji, to chyba w tem, że chcę, ażeby cnoty wypływały nietylko z poczucia obowiązku, lecz i z samolubnego uznania w nich warunku szczęścia, z obustronnej zgody charakterów, ażeby łączyły się nierozdzielnie z zadowoleniem wszystkich rozsądnych pragnień jednostkowych.

Czegoż dla osiągnięcia tego celu potrzeba?

Przedewszystkiem — wzajemnej znajomości. Nie tej, która się opiera na wiedzy o tem, jak narzeczony lub narzeczona tańczą, jak ubierają się, jakiemi językami mówią, jak grają lub śpiewają, i gdzie bywają na wieczorach — lecz tej, która nas wtajemnicza w charakter i temperament, w sposób wychowania, sposób zajęcia się domem, pożycia z rodzicami, z przyjaciółmi i przyjaciółkami, z młodszem rodzeństwem, ze służbą, wreszcie we wszelkie upodobania, przekonania i przyzwyczajenia, religijne, estetyczne, obyczajowe — we wszelkie kaprysy i fantazje.

— Ależ to niepodobna! zawołasz Pani.

— Jeśli to jest niepodobnem, odpowiem, to w takim razie ludzie wcale niepowinni grać w karty o grube stawki. Chyba, że małżeństwo nazwiemy zabawką tylko, formą, a obowiązki małżeńskie, gminnym przesądem, który ludzi z „towarzystwa“ wcale krępować nie powinien. W takim razie — *à la bonheur!* żeńmy się dla zaokrąglenia majątku, dla wejścia w stosunki, dla zapewnienia sobie protekcji, karety, podróży do wód, swobodnych miłostek i modnych mebli — ale nie dla żadnych celów szlachetniejszych, jednostkowych i społecznych, których środkiem miała być rodzina. Bo przez takie związki, celów tych nie osiągniemy. Któżby wstępował do spółki, nawet prawnie poręczonej i obwarowanej z człowiekiem, którego zna o tyle tylko, że wie jak się nosi, jak mówi, i jak się uśmiecha. A przecież małżeństwo jest spółką przeważnie duchową, w której żaden kontrakt, choćby przed rejentem spisany, nie poręczy harmonji duchowej mogącej się oprzeć tylko na wzajemnej znajomości charakterów.

Dajmy na to, że charakter panny jest uporny i kapryśny — a mężczyzna, mimo wszelkich zresztą zalet umysłu i serca, jest gwałtownym i niewyrozumiałym. Tych stron charakteru niepoznaje się w salonie, na wieczorkach, na koncertach i przechadzkach; jeżeli więc młodzi ko·

*) Napisawszy ten nagłówek machinalnie, uczułem zbytnią jego śmiałość, ale po chwili uwagi, przypomniawszy sobie przysłowie: *Audaces fortuna juvat,* pozwoliłem mu bezkarnie anonsować gawędę, która coraz bardziej wkraczała w sferę rzeczywistości.

chankowie poprzestają na tem, że się kochają i że wiedzą nawzajem o swej uczciwości, zamożności, pracowitości i t. p., a nie wiedzą o tej jednej stronie swoich charakterów — cóż z tego wyniknie? Najlepsza „partja“, obok przywiązania nawet, wytworzy małe piekiełko w domu, który miał być przybytkiem szczęścia. Powstrzymywanie objawu wad i namiętności, możliwe i naturalne przed ślubem, — zwłaszcza jeśli stosunki między narzeczonemi były ceremonjalne i nie trwały długo, — zniknie po ślubie. Pani będzie chciała, żeby album leżało na stole, a pan, żeby leżało na konsoli: i scena gotowa; pani chce wstawać o dziesiątej, a pan chce mieć śniadanie o ósmej: i co rano wszczyna się o to polemika, wskutek czego przy obiedzie rosół wydaje się przesolonym, a wino kwaśnem. I tak dalej — z małemi przerwami. Niechże do tego wszystkiego przyłączy się najniewinniejszy powód do zazdrości, a będziemy mieli spazmatyczne szlochania, wyrzuty, rzucania książkami, zamykania się w swojim pokoju i t. p. sytuacje— co niedaj Boże. Amen.

Niewieleby też lepiej było, gdyby taka panna dostała się jakiemuś safandule, dobrodusznemu i najbardziej pokojowo nastrojonemu. Byłoby wprawdzie ciszej w domu, ale od ciszy w domu do spokoju w duszy bardzo daleko. Mążby znosił swoją dolę, lecz byłby wiecznie niezadowolony, a żona narzekałaby, że nie może znieść swojej doli, i takżeby była niezadowoloną.

Gdyby zaś ów pierwszy mąż dostał się potulnej gąsce salonowej, byłoby toż samo, tylko na odwrót.

— Ale cóż na to poradzić? powiesz pani.

— Przedewszystkiem — nie spieszyć się do ołtarza. Powtóre, rozmawiać nietylko o pogodzie, teatrze i powieściach, lecz o życiu, o stosunkach, o obowiązkach, o pracy, o zajęciach i o upodobaniach własnych, poznawać się w dłuższem pożyciu, przy różnych okolicznościach i czynnościach, a rozmawiać trochę śmielej i trochę poważniej, niż to się zwykle praktykuje; śmielej — dla tego, że rachowanie się zbyt wielkie z konwenansami, prowadzi do obłudy, do wzajemnego tumanienia się; poważniej — ponieważ śmiałość bez powagi dowodzi tylko chorobliwej emancypacji. Po trzecie, — i tu właśnie dochodzimy do najważniejszego punktu, — potrzeba wyrabiać w sobie tę zdolność, którą jeden z naszych młodych pisarzy nazwał *psychologicznem współczuciem*.

— Cóż to takiego? spytasz Pani ze zdziwieniem.

Jest to rzecz bardzo prosta i bardzo trudna zarazem, ale bez- której niemożliwą jest harmonja w pożyciu.

Ażeby być jasnym, zacznę od przykładów.

Pan X. jest uczonym fizykiem n. p. i pracuje właśnie nad wynalezieniem nowego telefonu t. j. przyrządu służącego do przesyłania dźwięków. Kocha przytem żonę i jest przez nią kochany. Małżonka nie jest kobietą nierozsądną, ani próżną, a jeśli ma w sobie trochę zalotności, to chyba względem męża tylko. Lubi się ubierać dla niego i właśnie w chwili, gdy mąż wpadł na pomysł takiej błony, której drgania odtwarzałyby wszystkie dźwięki mowy ludzkiej, żona wbiega do jego pokoju w nowym kapelusiku, pytając z przymileniem:

— Cóż, czy ładnie?

— Ładnie, ładnie, odpowiada mąż, ale proszę cię aniołku, nie przeszkadzaj mi teraz, bo jestem bardzo zajęty.

— Ale powiedz tylko, czy naprawdę ładnie, bo widzisz, te astry nakrapiane, to nie nowe, tylko od dawnego ubranka odświeżone, a te wstążki, to Emilka mówiła...

— Dobrze, dobrze, tylko zlituj się, cóż mnie może obchodzić...

— Tak, ja wiem, że ciebie nic nie obchodzi; ty mnie zawsze tak traktujesz, ty mnie wcale nie kochasz...

I rozpoczyna się szereg wymówek i łez niewinnie przelanych, które mogłyby być łatwo otarte pocałunkami, gdyby mąż poczuwał się do winy. Ale on jest raczej skwaszony i zniecierpliwiony niż wzruszony; składa ołówek i papiery, zaczyna chodzić po pokoju, a żonie pozwala odejść nie rozpogodziwszy oblicza.

Inną razą, żona jest zmartwiona i smutna, bo śmietanka przypaliła się, a na domiar nieszczęścia, służąca „zabawiwszy się“ na mieście, nie nastawiła samowaru i jeszcze hardo opowiadała, że pani sama mogła sobie herbatę przygotować, bo jej już ręce i nogi od tej psiej służby odpadają. Mąż tymczasem, w wyjątkowo dobrem usposobieniu, siadł do fortepianu i nie wiele dbając o to, że herbata się opóźnia, delektował się nocturnem Szopena. Cóż to za rozkosz módz grać Szopena, wtedy, kiedy interesy poszły pomyślnie, kiedy zajęcia skończone — a pokój zalega cisza wieczorna...

W tem wchodzi żona.

— Wyobraź sobie, ta Maryśka, niedosyć, że godzinę siedziała na mieście, jeszcze mi odpowiada i garnkami ciska. Ja ci mówię, że jak raz rozumu nie nauczysz, to ja nigdy nie będę miała spokoju. Proszę cię, idź zaraz, i niech ja jej więcej nie widzę.

Dla miłego spokoju mąż wstaje i daje napomnienie służącej, pożegnawszy się z Szopenem, z marzeniami i dobrym humorem, przynajmniej — na cały wieczór.

Albo znowu: mąż wraca do domu po większej niż zwykle pracy biurowej, a idąc marzy, jak to przyjemnie będzie włożyć pantofle, zasiąść wygodnie w fotelu, zapalić cygaro i gawędzić z żoną lub słuchać jej czytania. Jest najmocniej przekonany, że i jej to zrobi przyjemność; ale na nieszczęście nie pamięta o tem albo raczej nie czuje tego, że kiedy on ma rozrywkę choćby w biurze, między kolegami, ona siedzi w domu od kilku tygodni; radaby więc rozerwać się i ludzi zobaczyć; jest przy tem pewną, że i mężowi robi to przyjemność. I oto na progu wita go radośnym uściskiem:

— A! jesteś przecie, wiesz co, była Emilka z mężem i prosili nas koniecznie na wieczór. Pójdziemy, prawda?

Następują uwagi i perswazje; mąż powiada, że nigdy nie ma spoczynku, że pracuje dla niej a ona nie dba o jego wypoczynek; żona zaś utrzymuje, że właśnie on nic nie dba o nią, że zawsze wtedy chce siedzieć w domu, kiedy onaby wyjść chciała i t. d.

Takie sceny powtarzać się mogą codziennie, a przyznasz Pani, że to wcale nie zabawne.

Tymczasem, któż temu winien? — Właściwie nikt. Trzebaby być niesprawiedliwym, żeby którejkolwiek stronie przyznać większą słuszność niż drugiej. Dla czego? — Bo ludzie ci nie odczuwają nawzajem swoich stanów duchownych, nie uwzględniają różnic, jednem słowem, nie mają *psychologicznego współczucia*. Tu już nie chodzi o współczucie zwykłe, o litość, o troskliwość, i t. p. przymioty, gdyż te znalazłyby się z pewnością, gdyby mąż zachorował, gdyby żona miała jakieś zmartwienie, lub gdyby jedno z nich narażone było na niebezpieczeństwo, a choćby tylko na przykrość ze strony obcych; ale tu chodzi o owe mniej dotykalne różnice w chwilowem usposobieniu, o odczuwanie tych chwilowo sprzecznych stanów duszy i rachowanie się z niemi, o wzajemne stosowanie się do siebie, o wzajemną wyrozumiałość, delikatność i względność. A tymczasem ci ludzie, mimo że są łagodnego i zgodnego charakteru, mimo że są uczciwi, mimo że się kochają, nie przedstawiają jednak tej wewnętrznej spójni, bez której harmonja *różnych* sił nie może być zupełną.

Współczucie psychologiczne jest niekiedy wrodzonym przymiotem; posiadają je ludzie od wszystkich kochani, bo zarówno dla wszystkich wyrozumiali, umiejący szanować cudze potrzeby i upodobania, tak dobrze jak swoje. Częściej jednak trzeba je zdobywać dopiero. A jak dla ulepszenia własnego charakteru w ogóle, tak i w tym szczególnym przypadku, najpotężniejszym środkiem, i najodpowiedniejszą chwilą jest miłość w pierwszych miesiącach małżeńskiego pożycia. Najłatwiej wtedy zacząć wyrabiać w sobie ten cenny przymiot — ale też najłatwiej wtedy zapomnieć o tym niezbędnym warunku przyszłego szczęścia. Wówczas bowiem nie czujemy potrzeby żadnych o nie starań, wszystko się do nas uśmiecha, wszystko zdaje się przychodzić samo przez się, uczucie samo stwarza harmonję. Ale gdy ta epoka minie, gdy przyjdą chwile poważniejsze, może nawet ciężkie, wówczas nie rychło uboléwać nad rozstrojem, który się wkrada w pożycie. Wówczas bowiem nie stanie sił i pobudek, i w najlepszym razie zawsze brakować będzie choćby małej cząsteczki tej pogody duchowej, jaką daje spójnia stosujących się do siebie potrzeb i wymagań moralnych, na podstawie psychologicznego współczucia.

Tymczasem w pierwszej epoce nic łatwiejszego jak wyrobić je w sobie; trzeba tylko wiedzieć o tej potrzebie, czuć w niej warunek zadowolenia na przyszłość i częściej myśleć o usposobieniu i potrzebach moralnych drogiej osoby; nietylko o tych, które dla wszystkich są widoczne, lecz i o tych także, które tylko kochające serce w głębi duszy odkryć potrafi. Wtedy i na pokazanie nowego kapelusza, i na upomnienie służącej i na zabawę wieczorną, znajdzie się a raczej *odczuje* czas odpowiedni; zajęcia i rozrywki rozłożą się w sposób dla obu stron dogodny i nigdy nie przyjdzie do stanowczej kolizji pragnień, do zerwania harmonji duchowej.

Zarzucisz mi Pani może, że jest to obraz idealny, że zupełna jedność uczuć i woli, a tem samem i niewzruszona stałość pogody małżeńskiej jest niepodobną. Ale ja też wcale nie myślę żądać takiej monotonnej jedności. Owszem, przyznam się Pani, że miłość oparta na zupełnej abdykacji z odrębnych pragnień jednostkowych, wydaje mi się czemś niesłychanie nudnem i martwem, czemś w rodzaju średniowiecznej muzyki nie znającej akordów dysonansowych. A zieche mnie Bóg broni od takiej ślamazarnej miłości!

Miłość bez walk, bez starć serdecznych, bez łez gorących, bez chwilowych udręczeń zazdrości — może być dostateczną dla ślimaków, ale nie dla ludzi; a przynajmniej nie dla tych stosunków duchowych, jakie ja sobie w wyobraźni mej przestawiam. Gdybym wiedział, że żona

moja zgadzać się będzie na wszystko co powiem i że ja będę się musiał zgodzić na wszystko co ona powie — to wolałbym sobie kupić lalkę gadającą, bo przynajmniej nie tyleby kosztowała.

Jeżeli zaś małżeństwo jest stowarzyszeniem *różnych* sił dla wspólnych celów, to samo się przez się rozumie, że siły te nie mogą być bierne, lecz żywe. A wszystko co żyje, żyje przez ścieranie się, przez walkę *dążącą do harmonji*. Tego też pragnę i w małżeństwie. Zgoda charakterów nie znaczny ich tożsamości. Owszem, jestem najmocniej przekonany, że charaktery zupełnie jednostajne są najgorszym materjałem do współki, takiej jak małżeństwo, jeśli się ma jakiekolwiek pragnienia i cele wyższe, oprócz zaspokojenia żołądka i znośnej wegetacji w społeczeństwie. Tylko bieguny przeciwne przyciągają się silnie i tylko różne siły są w stanie wytwarzać coraz to nowe kombinacyje stosunków. A jakże przerażająco nudnem byłoby życie, bez tej możności urozmaicenia go! Wiecznie pogodne niebo, bez żadnej chmurki, bez ożywczej rosy deszczu, jakżeby prędko stało się nieznośnem!

W przykładach, które powyżej przytoczyłem nie mieliśmy wcale do czynienia ze sprzecznemi charakterami — charaktery te były owszem zgodne i łagodne, a przecież nie mogły poręczać szczęścia. Podobnież nie poręczałyby go charaktery zupełnie sprzeczne: — ale *różnice*, znaczne nawet, wydadzą najpiękniejszą harmonję, jeśli tylko spełnione będą warunki, które powyżej podałem. Kolizje uczuć i pragnień nigdy nie przekroczą granicy właściwej, jeśli nad niemi czuwać będzie najpewniejszy stróż wewnętrznej harmonji — umiejętność odczuwania obcych stanów duchowych.

No, ale do tego wszystkiego potrzeba przedewszystkiem jednej rzeczy:

Trzeba kochać...

Całem sercem życzliwy.

(Dok, nast.) * *

POGADANKI.

XXVI.

Przeszłego roku wspominałem na tem miejscu o poecie naszym Karolu Brzozowskim, który osiadłszy w Syrji, tak długo nie dawał znaku życia. Niespodzianie zawitał on w tym miesiącu na parę dni do Lwowa, i przy tej sposobności udało się nakłonić go do wydania niedrukowanych jego utworów, z pomiędzy których pojawi się najpierw przekład księgi Hioba. Przed ośmiu laty miałem sposobność poznać niektóre ustępy tej pracy, pod względem formy wyższej od biblijnych przekładów Karpińskiego, a pod względem siły przeznaczonej zająć godne miejsce obok pomnikowych zabytków złotego wieku Zygmuntowskiego. Pamiętniki z życia poety pojawią się wkrótce w *Tygodniu* i uzupełnią lukę, która się czuć daje w historji naszego tułactwa. Jako świadek i uczestnik wypadków r. 1848 i 1849, jakoteż wojny krymskiej, a później, osadnik na Wschodzie, Brzozowski ma mnóstwo ciekawych, a po części i nieznanych zupełnie rzeczy do opowiedzenia.

W niedzielę żegnaliśmy powracającego do Syrji poetę na wieczorku u p. L. Zajączkowskiego, przysłuchywaliśmy się z zajęciem jego opowiadaniom i staraliśmy się ile możności dać wyraz serdecznym uczuciom, jakie kraj nasz cały żywi dla postaci tak czystej, szlachetnej i sympatycznej. Przy tej sposobności zawiązał się komitet, którego staraniem będzie zebrać i wydać rozrzucone po różnych pismach lub wyczerpane już dzieła K. Brzozowskiego.

* * *

Przedstawienia amatorskie na cele dobroczynne udają się u nas zawsze, nawet gdy są dawane w teatrze, i przez amatorów nienależących do „śmietanki“ towarzystwa. Cóż dopiero, jeżeli miejscem przedstawienia jest sala przyjęć oficjalnych w namiestnictwie, a role obsadzone są w ten sposób, że artysta zdaje się zaczynać dopiero od hrabiego, podczas gdy zwykły człowiek zaczyna się przecież do barona!

Pierwszy punkt programu usuwa się zupełnie z pod mojego sądu, składał on się bowiem z trzech kompozycyj, odegranych na fortepianie przez p. Tchórznickiego. W tej chwili, w której pianiści z profesji podzielili się we Lwowie na dwa nieprzyjacielskie obozy, szczęśliwym może się mienić ten, co tak radykalnie nie rozumie się na muzyce, jak ja. Nie potrafiłem nawet ocenić, czyli egzekutor liczy się do szopenistów, czy do lisztowców. Grał wprawdzie marsz z Tannhäusera układu Liszta, ale ponieważ nie złamał ani jednego klawisza i nie zerwał ani jednej struny, więc nie wiem, czy adepci Liszta zechcą przyznać się do niego. Nastąpiła potem komedyjka francuska, znana na polskiej scenie p. t. „Takie to one wszystkie“. Hiszpanka (hrabianka Borkowska) i moskiewka (księżna Thurn-Taxis) spierają się o serce młodego francuza, wice hrabiego de Trauy — omal nie przychodzi do pojedynku między obydwoma temi damami, których charaktery oddane były wiernie i z werwą przez pomienione amatorki. Jak wiadomo, kawaler będący przedmiotem tego sporu, rozstrzyga go padając niezręcznie i wywołując śmiech homeryczny mniemanych swoich wielbicielek.

P. Bartels odśpiewał parę wierszyków humorystycznych swojego utworu, między któremi szczególnie „Prośba do Kopernika“ odznaczała się obok humoru, satyryczną weną.

Zakończenie stanowił najnowszy płód wesołej muzy hr. Fredry młodszego pt. „Kalosze“. P. Ilnicki, obywatel wiejski zamieszkały we Lwowie (hr. Jan Zamojski) ma córkę (hr. Branicka, z domu Potocka) siostrę (hrabianka Klementyna Potocka) i niezmierny zapas dziwactw i złego humoru. Przedewszystkiem nie cierpi on tego, gdy mu kto odmienia kalosze — odzyskawszy bowiem nawet w takim razie tę część swego ubrania, nie chce „z zasady“ wkładać jej na swoje nogi, ani też używać cudzych, pozostawionych mu kaloszów. Młody p. Bótowski (hr. Grocholski) mający bardzo krótki wzrok, wchodzi w ciągłe kolizje z kaloszami p. Ilnickiego, i główna akcja w sztuce polega na tem, że niefortunny ten młodzieniec zabiera a p. Ilnicki kupuje jedną parę po drugiej, w miarę jak ją przynosi chłopak ze sklepu (hr. Józef Potocki.) Tymczasem wuj p. Bótowskiego, p. Filowicz (hr. J. Drohojewski) układa z p. Ilnickim marjaż między jego córką a swoim siostrzeńcem, który przychodzi do skutku po zamienianiu trzech par kaloszy i stłuczeniu dwóch aniołków gipsowych przez krótko widzącego amanta. Zważywszy, że ten krótki wzrok odgrywa w zawikłaniu sztuki co najmniej taką rolę, jak kalosze p. Ilnickiego, komedja mogłaby się także nazywać; *Pince-nez*, albo „aniołki gipsowe“, albo „krzyż, czy latarnia“ — z powodu że p. Bótowski kłania się zawsze ile razy przechodzi poprzed pewną latarnią, w mniemaniu, że to *figura* święta, a panna Ilnicka bierze te ukłony jako hołd oddany swoim wdziękom. Odegraną była ta krotochwila z wielkim humorem.

* * *

O toczącym się sporze między kapłanami Euterpy we Lwowie zdam sprawę później, gdy sprawa dojrzeje nieco więcej, dotychczas bowiem nie mogłem *zorjentować* się w niej dostatecznie. Czekajmy, moi państwo, czekajmy i orjentujmy się! Rzecz jest zbyt ważna, ażeby można wyrokować o niej pospiesznie i nie zbadawszy dokładnie wszystkich okoliczności. Jest między innemi np. mowa o tem, że *małpy* mogą także nauczyć się grać na fortepjanie. Niektórzy utrzymują nawet, że widzieli *małpy* grające, inni znowu utrzymują, że były to kozy. Na wszelki wypadek, oczekiwać należy w tej sprawie orzeczenia zoologów i innych specjalistów – publiczność zaś zyska tylko na tem, jeżeli jej się przedstawi rzecz wytrawnie i gruntownie zbadaną.

Jan Lam.

BIBLIOGRAFJA
polska.

Morawski Teodor. Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane. Tom III zawiera: Królowie obieralni. – Wazowie. Wydanie wtóre 8ka str. 608 Poznań 1877. 3·60.

Na cudzej roli. Powieść współczesna przez J. K. S. 2 tomy 8ka str. 150. 170. Warszawa 1877 1·20.

Plebański J. K. O pedagogicznem znaczeniu nauk klasycznych 8ka str. 122, Warszawa 1876 85.

Przewodnik dla cieśli. Wydanie nowe 8ka strona 306. Warszawa 1877. 2·—

Ranke Leopold. Historja Papieży i Papieztwa. Przekład T. Skomorowskiego. Tomik V—IX Warszawa 1876.

Schwartz M. Z. Gorączka emancypacji. Przekład ze szwedzkiego. 8ka str. 344. Warszawa 1877. 1·20.

Schwartz M. Z. Marzenia Gertrudy. Powieść. Przekład ze szwedzkiego 8ka str. 344. Warszawa 1877. 1·20.

Smiles Samuel. Oszczędność (Thrift) zeszyt IV. 8ka. Warszawa 1876 całe dzieło 2·50,

Szlosser F. K. Dzieje powszechne. Tom XVII zawiera historję XVIII wieku 8ka str. 658 Lwów 1877 2·50.

Verne Juljusz. Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi. Wydanie drugie 8ka str. 618 Warszawa 1877. 2.—

Verne Juljusz. Dzieci kapitana Grant'a. Podróż fantastyczno naukowa 3 tomy 8ka str. 323. 319. 280. Warszawa 1877 3·75.

Wagner Rudolf v. Podręcznik technologji chemicznej. Tłomaczył z ostatniego wydania Juljan Grabowski. Zeszyt I 8ka str. 544. Warszawa 1877 z porachowaniem za całe 10·50.

Wojcicki K. Wł. Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia (1800—1830) 8ka str. 238 Warszawa 1877. 3.—

Wyszniegradzki J. A. Prawa zasadnicze teorji mechanicznej ciepła. Trzy odczyty. Spolszczył Ignacy Kempiński 8ka str. 48. Warszawa 1876. 60.

Zarysy charakteru Germanów i Słowian przez A. A. 8ka str. 41. Warszawa 1877. 70.

Zeissberg H. Prof. Dziejopisarstwo polskie wieków średnich. Dzieło uwieńczone nagrodą. Przekład z niemieckiego 2 tomy 8ka str. 263. 304, Warszawa 1877. 7·40.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

Zakład kąpielowy przy zdrojach słonych jodo-bromowych w Rabce.

Rabka wieś położona w dawnym obwodzie Wadowickim, dziś w powiecie Myślenickim na wschód Beskidu, otoczona górami Luboń od północy, od południa górami Piłat i Rabuń z największym szczytem św. Krzyż, leży na wysokości 2.578 sążni wiedeńskich; położenie ma zresztą bardzo korzystne, bowiem przerzyna ją kilka gościńców, jako to: 1) gościniec prowadzący z Orawskiego komitatu Węgier przez Myślenice do Krakowa; 2) gościniec południowy z komitatu spiskiego z powyższym w Rabce się schodzący; i 3) gościniec karpacki z Biały do Nowego Sącza prowadzący, przystęp więc do Rabki łatwy; zwłaszcza że leży ona na pół drogi z Krakowa do Szczawnicy, Rabka ma dalej targi co 14 dni, kościół parafjalny z dwoma kościołami filjalnemi i czterema kaplicami.

Około ćwierć mili od kościoła ku wschodowi znajdują się źródła wody słonej, z których za rządów polskich sól warzono. Źródła te należały do posiadłości klasztoru XX. Cystersów w Szczyrzycu, nadane temuż około roku 1234 przez fundatora Teodora herbu Gryf wojewodę krakowskiego, a najdawniejsza o nich wzmianka znajduje się w przywileju Bolesława Wstydliwego, który posiadłości klasztoru w roku 1254 zatwierdza, a między innemi o soli *Sal de Rabschycza* wspomina, co Długosz (liber Benef. III. pag. 446) wyraźnie tłumaczy *Sal in Rabka* tj. warzelnia soli w Rabce. Później okolica Rabki odpadła od posiadłości klasztornych, a w roku 1403 dostała się Rabka w posiadanie Jana Ligęzy, wojewody łęczyckiego tytułem kupna za cenę 1.000 grzywien groszy praskich; od Ligęzy przeszła na początku XVI. wieku w posiadanie Jordanow herbu Trąby, i za czasów tychże dziedziców Rabki Jerzy Grossmann, mieszczanin oświęcimski, uznawszy ważność źródeł solnych w Rabce, uzyskał za staraniem od króla Zygmunta Augusta w r. 1568 przywilej na śledzenie i kopanie kruszczów w górach solnych także i w okolicy Rabki, wskutek którego urządził tamże warzelnię soli, którą jednakże dla braku funduszów w następnym już roku zaprzestać musiał, a w miejsce jego zaczął znowu prowadzić roboty górnicze Marcin Konopnicki, dworzanin królewski z Krakowa i jeden z towarzystwa gwarków (akcjonarjuszów górniczych) po uzyskaniu od króla w Lublinie dnia 21go czerwca 1569 nowego pozwolenia do poszukiwania kruszców w okolicach podbieszczadzkich; w zamiarze więc dostania się do soli kruchowatej przy źródłach wody słonej w Rabce wybił najprzód własnym kosztem szyb od wierzchu na trzy łatry głęboki, a potem zjednał Matysa Wychowańca z Każmierza, który wspólnym nakładem gwarków zobowiązał się zrobić dalej 16 łatrów szybu dobrze ocembrowanego, lecz gdy roboty tej wykonać nie mógł uszedł; o co Konopnicki r. 1570 wniósł zażalenie do grodu krakowskiego (jak świadczy liber inscriptionum castri Cracov: anni 1570. Tom 99. pag. 53); ze zgonem zaś Konopnickiego, jak się zdaje, upadła warzelnia tutejsza, a lud okoliczny korzystał z wody używając takowej to jako lekarstwo, to w miejsce soli kuchennej a nawet po zajęciu Galicji przez sławną cesarzowę Marję Teresę aż do roku 1813, w którym to roku z rozkazu rządu źródła wszystkie, a było ich sześć, kamieniami, chrustem i ziemią zasypano, a gdy mimo tego woda i tak się przesączała, ustanowiono w pobliżu źródeł płatnego stróża w celu wzbronienia, aby lud okoliczny nie korzystał z wody solą nasyconej.

I tak więc na źródła te po zgonie przedsiębiorczego Konopnickiego żadnej więcej uwagi nikt z następnych właścicieli dóbr Rabka nie zwracał, jakkolwiek dobra te w znakomitych zawsze bywały rękach, w XVII. bowiem wieku z dziedzictwa Jordanow przeszły na Zebrzydowskich, a następnie w roku 1621 z rąk Jana Zebrzydowskiego tytułem kupna i sprzedaży przeszły na Marjana Przyłęckiego, po którym je odziedziczyli Komorowski a potem Wielopolscy, w których ręku blisko cały wiek pozostawały; aż dopiero teraźniejszy właściciel tychże dóbr p. Juljan Zubrzycki nie szczędził trudów w poszukiwaniach co do zbadania przymiotów tychże wód pod względem leczniczym, i na przedstawienie jego zawiązana w Towarzystwie Naukowem krakowskim komisja balneologiczna, mająca na celu podnoszenie zdrojowisk krajowych już znanych i wyszukiwanie nowych zdrojów wód lekarskich uprosiła na posiedzeniu dnia 22go marca 1858 odbytym profesora dra Skobla, podówczas przewodniczącego w rzeczonej komisji, aby zbadał pomienione wody i w swym czasie złożył sprawozdanie; do czego wyrobiło mu z Dyrekcji skarbowej pozwolenie odkrycia tych źródeł, i naczerpania potrzebnej do badań ilości wody.

Profesor dr. Skobel po przyjęciu tego uprzejmego wezwania udał się do Rabki i z wody z odkopanych trzech źródeł powziętej, opierając się na badaniach na miejscu samym, jak też i na rozbiorze chemicznym jakościowym pomienionych wód — poczynionych, wyprowadził wniosek ten: że tak z dawnych doświadczeń ludu miejscowego i okolicznego, jak też z rozbioru chemicznego przeprowadzonego, należy policzyć wody przerzeczone do słonych jodowo-bromowych żelezistych, i że ze względu na obfitość źródeł i korzystne dla zdrowia położenie tychże i okolicy, założone tu łazienki ze stosownym dla chorych urządzeniem byłyby wielkim dobrodziejstwem okolicy.

(C. d. n.)

Literatura i sztuka.

— „Towarzysza pilnych dzieci“ wyszedł nr. 8. Na pisemko to zwracamy szczególną uwagę publiczności, gdyż jest to jedyne u nas pismo dla dzieci, wychodzi w bardzo ładnem wydaniu, ozdobne pięknemi ilustracjami i nadzwyczaj tanie, tak że kosztuje kwartalnie tylko 1 złr. 20 ct., każdy więc może je prenumerować, a nie potrzebujemy dodawać jak jest rzeczą pożyteczną prenumerowanie pisma dla dzieci, pisma, które z wielką uciechą dziatwa odczytuje, wygląda go i z przyjemnością odnosi pożytek. Redakcja jest bardzo staranna, prowadzi ją Władysław Bełza, który już od lat kilkunastu pracuje na polu literatury dziecinnej i parę pisemek dla dzieci redagował. Z większych prac „Towarzysz“ zamieścił: Poczciwe psisko, powiastka Michała Bałuckiego. Leniwy Staś, komedyjka dla dzieci Marji Mirkowskiej, nagrodzona na konkursie lwowskim. Kasylda, powiastka K. Wolskiego. Kościuszko w Solurze, powiastka. Grób bogacza, powiastka prof. Janoty. Brat i siostra, komedyjka dla dzieci przez Izę. Dyogenes, opowiadanie. O biednym muzykusie i o lichu które siedziało u niego za piecem, powiastka Wacława Szymanowskiego. Tadeusz Kościuszko, opowiadanie historyczne przez Janka Płakania. Posłowie Szeklerów, przez Kaliksta Wolskiego. Inflanty, przez L. B. Oprócz tego wiele drobnych powiastek pióra Józefa Chmielewskiego i innych. Ładne wierszyki Bełzy, Izy, Chęcińskiego i t. d. artykuliki z nauk przyrodniczych i historycznych, opracowanych umiejętnie. „Towarzysz“ wychodzi wspólnym nakładem Księgarni Polskiej i księgarni Wł. Bełzy, wydawany jest nie w celach spekulacji, ale dla zaradzenia potrzebie. W miarę jak liczba prenumeratorów będzie się zwiększała, pisemko to będzie się mogło jeszcze bardziej rozwijać. Polecamy więc je pamięci czytelników.

— Nakładem Ungra w Warszawie wyszły z druku Pamiętniki z wojny hiszpańskiej (1808 —1814) Stanisława Boeckera b. oficera legjonów polsko-francuskich. Jest to przekład z niemieckiego dokonany przez córkę autora panią Paulinę Cybulską. Dzieło obejmuje 339 str. w małej ósemce.

— Rozprawa Jana Jeleńskiego „Żydzi, Niemcy i My“ wyjdzie wkrótce w przekładzie rossyjskim.

— „Gazeta Polska“ zapowiada druk Pamiętników ś. p. Aleks. hr. Fredry i nowej powieści Kaczkowskiego.

— Ministerjum austrjackie zajęło się gorliwiej niż dotąd, losem szkoły Sztuk pięknych w Krakowie, do której mianowano już dwóch profesorów: malarstwa i rysunku. Zażądano także, ażeby wkrótce przedstawiono kandydata na profesora rzeźbiarstwa. Wszystko to zawdzięcza Kraków osobistej interwencji hrabiego Alfreda Potockiego, namiestnika, za jego bytności w Wiedniu. Spodziewać się należy, że szkoła na czele której stoi mistrz Matejko, mając środki po temu, szybko się rozwinie i przybierze rozmiary jakie mieć powinna.

— W Kunstvereinie Monachijskim zwraca na siebie uwagę płótno przedstawiające Jana Kochanowskiego przy łożu śmiertelnem Urszulki (1582 r.) malowane ciepło i żywo przez pannę Butowt-Andrzejkowicz. Reprodukcje fotograficzne tego obrazka niedługo się ukażą w naszem mieście.

— Dr. Rabinowicz, świeżo wydał w Paryżu gramatykę polską po niemiecku: „Vergleichende Grammatik der Polnischen sprache, verglichen mit der deutschen und hebräischen.“ Autor porównywując język polski z niemieckim i hebrajskim, przeznacza swą pracę izraelitom, swoim współwyznawcom, którzyby chcieli umiejętnie poznać mowę polską. Dr. Rabinowicz wydał tę książkę swoim nakładem, odejmując sobie ciężką pracą zdobywany kęs chleba. Zaiste, poświęcenie godne uwielbienia.

Odczyty.

— Znany literat i prof. F. H. Lewestam miał w Warszawie dwa odczyty publiczne o J. I. Kraszewskim, o których jednak krytyka niezbyt pochlebnie się wyraża.

— W dalszym ciągu odczytów urządzanych przez Towarzystwo Naukowe Akademickie polskie w Berlinie czytać będą: Dnia 11go marca pan A. Starkowski „Ogólny zarys rozwoju budownictwa.“ Dnia 18go marca p. F. Turkowski „O przyczynach upadku Polski.“ Dnia 25go marca p. F. Wilkoński „O cechach.“ Po każdym odczycie nastąpią deklamacje. Dochód przeznaczony na bibljotekę Tow. Naukowego Akademickiego w Berlinie.

Teatra.

— Głośna komedja Dumasa „Cudzoziemka“ wkrótce graną będzie w Warszawie w przekładzie p. Władysława Bogusławskiego.

— P. Cieślewski, który niedawno opuścił nasze miasto, występuje obecnie w Poznaniu, gdzie jest z zapałem przyjmowany.

— W Presburgu w tych czasach przedstawiono z niezwykłem powodzeniem komedję, utworu p. Bohrmen-Riegen p. t. „Majestät.“ Rzecz jest osnuta na tle historycznem, przedstawia intrygi stronnictwa francuskiego, przy dworze króla Sobieskiego, ażeby nie dozwolić mu iść na odsiecz Wiednia, przeciwko Turkom. Jedną z głównych figur sztuki jest poseł austrjacki, hrabia Waldstein, którego sceny miłosne tworzą komiczną stronę utworu.

Wynalazki.

— Jak donoszą dzienniki sztokholmskie, maszynista pewien warsztatów okrętowych w Vitsii wynalazł sanie parowe, które uciągnąć mogą po zwyczajnej drodze 5 – 6 mil z podróżnymi i towarami, mogą więc być bardzo użyteczne dla komunikacji w zimie, zwłaszcza w północnych okolicach Szwecji i Norwegji, nie posiadających kolei żelaznej.

Statystyka.

— Ilość dokumentów dyplomatycznych w sprawie wschodniej, według berlińskiej gazety „Tagblatt“ od chwili wybuchu powstania hercogowińskiego, doszła już do ogromnej sumy 12tu tysięcy. Z liczby tej przypada na rossyjską kancelarję dyplomatyczną 2.200, na turecką 2.000, angielską 2.200, austrjacką 2.700, francuską 1.696, włoską 1.200, niemiecką 1.000. Sama angielska „księga błękitna“ zawiera w sobie mniej więcej 1.090 dokumentów. Pierwszy tom tej książki składa się z 757 stronic, drugi z 380.

Wielkie przedsięwzięcie.

— Kwestja połączenia, za pomocą kanału, morza Czarnego z morzem Kaspijskiem, ciągle jest przedmiotem studjów. Obecnie piszą zagraniczne gazety, że inżynier amerykański Spalding złożył rządowi rossyjskiemu plany wykazujące możliwość połączenia dwóch mórz i sposoby, za pomocą których cel ten mógłby być dopiętym.

Wystawa.

— Paryskie Towarzystwo antropologiczne postanowiło urządzić na przyszłej wystawie paryskiej wystawę specjalną wszelkich przedmiotów, zostających w związku z naukami antropologicznemi. Komisja wystawy wydzieliła Towarzystwu na ten cel bardzo obszerne pomieszczenie na placu Trocadero. Pomiędzy osobliwościami, znajdować się mającemi na wystawie, wymieniają w sekcji morskiej statek wyżłobiony z jednego kloca drzewa mahoniowego, który ważyć będzie najmniej 15.000 kilogramów. Statek ten będzie miał długości 7 metrów, półtora m. szerokości i 90 centim. głębokości; wykonywa się robotą siekierową w Guatemala.

ROZMAITOŚCI.

— W jednym z zeszytów „Wiadomości Petermanna," zawierającym cztery odczyty o Kaukazie Dr. Raddego, dyrektora cesarskiego muzeum w Tyflisie, znajdujemy następujące ciekawe szczegóły o „najpiękniejszych mieszkańcach ziemi." Biorąc ogólnie, to na obudwu chrześcijańskich głównych narodowościach ziem kaukazkich, a mianowicie Ormianach i Georgijczykach, potwierdza się stary aksiomat, że, czem gdzie biedniejszą i skąpszą dla człowieka przyroda go otaczająca, tem on tam zapobiegliwszy w walce o byt codzienny. Ci piękni mieszkańcy w dolnej Mingrelji, którym bogata przyroda nie poskąpiłaby niczego, gdyby tylko do niej rękę przyłożyć chcieli, wszyscy oni są zawziętymi leniwcami, ludem formalnie żebraczym. Wiele w tej mierze winien wprawdzie i klimat, bo przecie wiadomą rzeczą, że wszyscy Południowcy są bardziej leniwi, ociążali i wygodnisie, niżeli hartowany od dziecka zimnym klimatem mieszkaniec Północy. W cieniu rozłożystego orzecha stoi drewniana chata Mingrelczyka, zbudowana najczęściej z miękkiego drzewa słodkiego kasztanu, w koło niej urodzajne pole, na którem sadzi dynie i jarzyny strączkowe. Każde drzewo jest tam naturalną podporą dla bujnego winogradu, rozrastającego się często do stosunkowo olbrzymich rozmiarów; tu i tam stoi drzewo morwowe, od czasu do czasu spotkać można stado samopasem chodzącej, małej czarnej trzody bezrogiej. Potem kilka chudych krów, kilka kóz, gdzie lepszy byt, tam kilka nieodzownych bawołów — i oto wszystko, co dotyczy ogólnego obrazu gospodarstwa rolnego. Atoli czem dalej w góry, rzecz już zupełnie odmienna. Najlepsze warunki bytu znajdujemy na wysokości 4000 stóp po nad morze. Tam winograd prosperuje jeszcze w najlepsze, hodowla jedwabników jest wcale możliwą, tak zwane południowe cerealja, pod czem rozumieć należy głównie kukurydzę i jarzyny strączkowe (Setaria italica), rodzą się wyśmienicie, a na ciężkim gruncie gliniastym pszenica wydaje plon wcale piękny. Tam rolnikowi pracowitemu warunki życia lekkie i korzystne. Klimat jest umiarkowany, winogradu nie trzeba okrywać na porę zimową, cieńkoskórne winogrona wzmacniają się i dojrzewają pod dogrzewającem w miarę słońcem, i nie cierpią bynajmniej z nadmiaru deszczów nawidzających niziny. Ludność nie żyje wprawdzie ugrupowana po większych centrach cywilizacyjnych, ale powiększej części rozprószona wśród czarujących gór. z tem wszystkiem jednak pojedyńcze osady sąsiadują z sobą dość blisko, bliżej niżeli w mingrelskiej nizinie, gdzie zupełny brak osad rolnych. Piękny leniwiec niżej położonych i bez porównania urodzajniejszych krain, któremu ryż i bawełna, często drzewa oliwne, a nawet tu i owdzie owoce hesperydów rodzić się mogły, on był, jest i pozostanie biednym. Brat jego w górach ma się już daleko lepiej. Góral jest również piękny; silnej i kształtnej budowy, czoła wyniosłego, wzrok pełen godności, zarost silny, oczy ciemno szafirowe lub czarne stosownie do koloru włosów. Surowy klimat w górach zmusza go do pracy i zapobiegliwości; góral musi pamiętać o zimie, jak podczas zimy utrzymać siebie, rodzinę i dobytek, to też pola jego dobrze są uprawne, winnice starannie utrzymane, domy dobre, zabudowania dla bydła także nie wiele do życzenia pozostawiają; słowem góral mingrelski jest dobrym gospodarzem. Mieszkaniec Imeretji, w górach swych kolchickich, jest również daleko lepszym gospodarzem od Mingrelczyka, żyjącego w dolinie; w ogóle można przyjąć za zasadę, że czem klimat surowszy, czem warunki bytu są uciążliwsze, tem człowiek, zmuszony walczyć z naturą, staje się bardziej pracowitym i przemyślnym, na czem jednakże, czem wyżej w górę, nieraz dużo cierpi wrodzona piękność, elegancja i wspaniała postać tych ludzi, bo łatwo zrozumieć i poznać, że trud ciężki i ciągła praca zabijają piękność, która, pomijając wyjątek powyższy, jest tam ogólną. Dość jest zatrzymać się w Suadi, byłej rezydencji książąt mingrelskich, i pójść spojrzeć na lud zgromadzony podczas jarmarku, ażeby się przekonać, że kraik ten jest ojczyzną najpiękniejszych ludzi na ziemi, że rasa ich, tak zwana „rasa kaukazka", istotnie zasługuje na głośną swą sławę. Tyczy się to głównie klasy zamożniejszej i tej części ludu, która dzięki miejscowości w jakiej zamieszkuje, nie jest zmuszoną ciężko pracować; górale a szczególnie kobiety w górach wysokich, jakeśmy to już napomknęli, zostawiają wiele do życzenia, wcale nie wyglądają idealnie. W rasie kaukazkiej każdego uderzą dwa różne typy: pierwszy stanowią ludzie blond włosów, oczu błękitnych, czoła wyniosłego, do drugiego zaś typu należą silni bruneci o kruczych włosach, czarnych pałających oczach, lecz czoła już nie tylko nie wyniosłego, lecz często bardzo nawet nizkiego, jakby przybitego. Piękność rasy kaukazkiej da się wytłumaczyć tem, że Kaukaz od wieków nawidzany był inwazją rozmaitych plemion, co było przyczyną ciągłego odświeżania, że tak powiemy, krwi miejscowej przez domięszanie do niej krwi obcej. Podobne odświeżanie zawsze jest niezbędnem jeśli chcemy, by piękność nie traciła w swej sile. Arabi, wychodźcy z Turcji, nawet Murzyni, którzy stamtąd uciekłszy przenieśli się na Kaukaz i pożenili się z Abchazkami naprzykład, wydają najpiękniejsze dzieci o białej skórze. W Syberji toż samo; najpiękniejszemi tam są z dzieci Rossjan połączonych z Mongołami, tak samo jak znów w Australji, tam spotykamy najpiękniejszych ludzi, z powodu najwięcej rozmaitych narodowości z sobą w jednem miejscu żyje. Widziałem, powiada dr. Radde dzieci pewnego tatarskiego księcia i pewnej Szkotki rodu arystokratycznego; dzieci były prześliczne. W Swanelji przeważa krew georgijska, lecz cóż za rozmaitość tam typów i ileż tam piękności, w których znać ślady rysów słowiańskich, tatarskich, i innych i właściwie dlatego są tak pięknemi i porywającemi nieraz, że powstały z krzyżowania plemion rozmaitych.

— W Dreznie zmarła w tych dniach znana w Berlinie i w wyższych sferach kobieta, Marja Simon, która dorobiła się licznych orderów, sławy i popularności w czasie wojny 1866 i 1870 roku, poświęcając się pielęgnowaniu rannych i chorych. Rodem a z Łużyc, uboga dziewczyna, potem właścicielka magazynu mód, naostatku oddała się całkowicie staraniu około szpitala, którego była założycielką. Fundusze nań zebrane zostały ze składek w całych Niemczech. Znana osobiście cesarzowi Wilhelmowi, cesarzowej Auguście, królowej Karolinie ceniona wielce, Simon, do zgonu kierowała swoim zakładem, głównie dla inwalidów wojskowych przeznaczonym. Pogrzeb jej dowiódł, jak Sasi i Niemcy w ogóle, bądź co bądź. poświęcenie oceniać umieją. Tłumy towarzyszły do grobu Marji Simon, a królowa dnia tego nie mogła się przemódz i wieczorem nie pokazała się na dworskim koncercie. Pogrzeb nadzwyczaj był wspaniały. Przy tej sposobności należy oddać królowej Karolinie należną jej cześć jako prawdziwej niezmordowanej opiekunce sierot i chorych. Sama dzieci nie mając, z rzadką serdecznością zajmuje się i krząta około tych, które sobie przybrała. Godzinami, dniami całemi przebywa po szpitalach, przytułkach, zakładach dobroczynnych; sama na Boże Narodzanie rozdaje kolendy i hojną dłonią sypie jałmużny. Nie jest to dobroczynność urzędowa, ale prawdziwie macierzyńska.

— W Szwajcarji w Lauterbunner w zeszłym tygodniu, oderwała się ze szczytu góry Szwarzmonch ogromna lawina śnieżna, ktora spadłszy w dolinę wielkie wyrządziła spustoszenia. Gazeta „Oberland" pisze, że trudno mieć wyobrażenie o katastrofie, nie będąc naocznym świadkiem. W upadku swoim massa śnieżna oparła się o nowo budujący się dom, przeznaczony na pomieszczenie szkoły. Główne mury wytrzymały nacisk, ale dach w drobne rozerwany cząstki i belki górnego pokładu, do 20 stóp długie, przeniesione zostały dalej o jakie sto stóp; niektóre części i na odległości 300 stóp znajdywano. Olbrzymie drzewa zerwane zostały z korzeniami. Na szczęście nikt z ludzi życia nie utracił. Budynek szkolny miał być za dwa tygodnie oddany do właściwego użytku.

— A propos generała Changarnier, którego pogrzeb odbył się w Paryżu, damy tu maleńką próbkę jego temperamentu. Było to w roku 1849. Paryż wrzał cały, robotnicy i studenci zatykali na barykadach czapkę frygijską i śpiewali marsyljankę. General Changarnier miał polecenie rozpędzić tłumy. Krew popłynęła rynsztokami. „Generale" raportuje przybiegający adjutant—„mam kilkudziesięciu jeńców, co z nimi zrobić?"—„Massacrez tout!"— (wszystkich wyrżnąć) odpowiada Changarnier. Adjutant osłupiał, żołnierze zaczęli głośno szemrać. Generał się zmiarkował, że wydał rozkaz może za surowy. Ale jak tu odwołać? — „Ah! pan mnie nie rozumiesz" — rzekł nagle. — „Zakaszlałem się i powiedziałem „Ma sacrée toux" (przeklęty ten mój kaszel). Więźniów zamknąć. Co to jest mieć présence d'esprit.

— Korespondent Głosu donosi o dość zajmującym wypadku na drodze kolej kijowsko-brzeskiej. Pociąg pędził całą siłą pary, gdy w tem zbliżywszy się do „Sroczego brodu" w kowelskim powiecie, począł ustawać, chód stawał się coraz powolniejszym, nareszcie pociąg stanął i nadaremnie para coraz silniej pracowała, ani rusz z miejsca! Zaniepokojeni podróżni tym niewytłumaczonym „postępkiem" pociągu, wkrótce ujrzeli rozwiązanie zagadki; dość im było spojrzeć na drogę. Taka masa drobnego owadu osiadła była szyny, że koła wagonów ślizgały się po rozmiażdżonej tej masie jak po oliwie i dlatego nie mógł pociąg ruszyć. Korespondent nie powiada jakiego rodzaju był ten owad, donosi tylko, że lud okoliczny nazywa go po prostu „owadem" i owad ten nie jest tam rzadkością. Mnożą się miliardami w końcu marca, i można go nieraz spotkać w wielkiej ilości, na powierzchni wody lub śniegu. Podobny wypadek był w roku zeszłym na kolei Odesskiej.

— Na prawym brzegu niewielkiej rzeczki, wpadającej do Oki, o 80 wiorst od miasta M., powiada pewne petersburskie pismo, rośnie nie wielki bór śliczny, w środku którego widać polankę, a na polance skromny, domek drewniany, łatami kryty; domek bardzo zwykły chłopski, bez żadnych wygód a tem bardziej elegancji wewnątrz. Innych zabudowań ani śladu. Nie ma nawet najmniejszego ogródka, najmniejszego sadu; do koła posępnie i smutno. Latem kilka ścieżek wydeptanych prowadzi od domku, z których to ścieżek jedna do rzeczki po wodę, a zimową porą i tego nie widać; zamiecie wszystko zasypują tak, że zaledwie można dostrzedz domek. W domku tym, oddzielonym od całego świata, żył przez lat trzydzieście niepospolity pustelnik. Pustelnik w całem znaczeniu słowa tego; nigdzie nie wyjeżdżał rok cały, nikogo nik przyjmował, nawet sługi nie miał; sam sobie był panem i sługą; sam jeść gotował, drwa rąbał, sam wodę sobie nosił; widywał się tylko z chłopami, to też lud prosty na pięć mil w około znał księcia Prianikowa. W młodości służył w gwardyjskiej konnej artylerji; służba go znudziła, i wyszedł do dymisji. Potomek starożytnego rodu, pan i arystokrata, pan licznych włości, wyszedłszy z wojska. zamieszkał z początku w stolicy w własnym swym pałacu i począł żyć stosownie do pozycji swej towarzyskiej, nie znając kłopotów, nie mając żadnych obowiązków trudnych, mogąc cały swój czas poświęcać bez przeszkody zajęciom według upodobania i fantazji swojej — lecz wkrótce życie na wielkim świecie swobodnym człowiekiem wydało się mu tak samo bez celu i ckliwem jak służba wojskowa, i książę zaprzestawszy niebawem bywać w towarzystwie, całe dnie przesiadywał nad książkami studjując przeważnie chemję, lub, gdy księgi zmęczyły, brał fartuch robotnika i oddawał się tokarstwu. z rzadka tylko nawidzając salon swej żony, z domu hrabianki Z. u której, w owym czasie zbierało się wszystko co tylko należało do najświetniejszego towarzystwa petersburskiego. Do salonu książę nigdy nie przychodził inaczej jak w kostjumie prostego robotnika; można sobie wyobrazić jakim był kontrastem w porównaniu z gośćmi we frakach i białych krawatach. Księżnę gorszyło nieco podobne postępowanie „męża oryginała" jak go nazywała, lecz potem dała pokój, pozwalała mu nosić proste odzienie. Pomimo tego, książę widocznie coraz bardziej się nudził w towarzystwie wielkiego świata i wreszcie zerwał z nim ostatecznie. Pięknego poranku pożegnał żonę „arystokratkę" i wyjechał na wieś. Obrał miejsce smutne, postawił chatę, żył z naturą, pracował na życie jak chłop zwykły. We wrześniu roku przeszłego chata stała się pustą, książę umarł. Nikt z wielkich tego świata nie był na jego pogrzebie, ale za to tłumy chłopów i nędzarzy, z miłością złożywszy do prostej trumny „przyjaciela" swego, na rękach do grobu zanieśli, przyczem był wielki płacz ludu całego.

Treść Nr. 28.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). **Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Józef A. L. Laskownicki.**